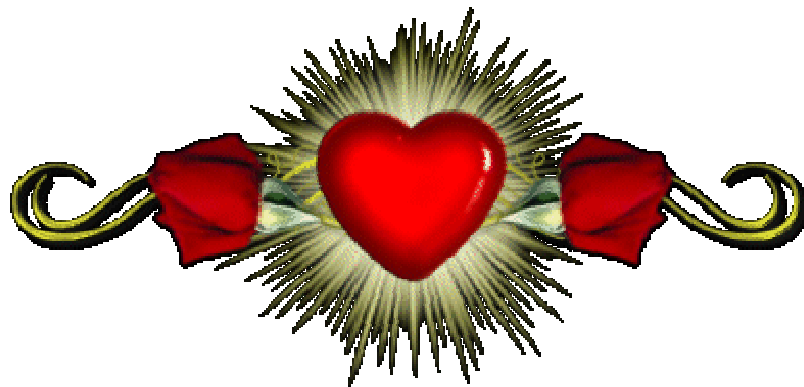




ANNA GAVALDA



KOCHAŁEM JA

- Co powiedziałeś?
- Powiedziałem, że je zabiorę. Krótki wyjazd dobrze im zrobi...
- Ale kiedy? - zapytała teściowa.
- Teraz.
- Teraz? Chyba nie masz zamiaru...
- Mam zamiar.
- Ale co to za pomysł?! Już prawie jedenasta! Pierre, ty chyba...
- Suzanne, rozmawiam z Chloé, Chloé, posłuchaj. Mam ochotę was zabrać jak najdalej stąd.

Co ty na to?

- Uważasz, że to niedobry pomysł?
- Nie wiem.
- Jedź po rzeczy. Zaraz potem wyjedziemy.
- Nie chcę jechać do domu.
- Więc nie jedź. Poradźmy sobie na miejscu.
- Ale przecież ty...
- Chloé, Chloé, proszę... Zaufaj mi.

Teściowa nie daje za wygraną:

- No nie! O tej porze? Chyba nie będziecie teraz budzić dziewczynek! Poza tym dom jest nieprzygotowany: ogrzewanie niewłączone, nie ma nic dla dzieci. One...

Teść podniósł się z miejsca.

*

Marion, z paluszkiem w buzi, śpi w swoim samochodowym foteliku. Obok zwinięta w kłębek Lucie.

Zerkam na teścia. Siedzi wyprostowany. Ręce mocno trzymają kierownicę. Od naszego wyjazdu nie powiedział słowa. W świetle mijanego samochodu widzę jego profil. Ma taką samą niešťęśliwą minę jak ja. Sprawia wrażenie zmęczonego i zawiedzonego.

Czuje na sobie mój wzrok:

- Dlaczego nie śpisz? Powinnaś się przespać. Opuść siedzenie i śpij. Przed nami jeszcze długa droga...

- Nie mogę - odpowiadam - dotrzymuję ci towarzystwa.

Uśmiecha się do mnie leciutko, prawie niedostrzegalnie.

- Nie... to ja tobie dotrzymuję towarzystwa.

Milkniemy i zagłębiaamy się w swoich myślach. Zakrywam rękami twarz i płacę.

Zatrzymujemy się przy stacji benzynowej. Korzystam z jego nieobecności, by odsłuchać komórkę.

Żadnej wiadomości.

Oczywiście.

Ale jestem głupia.

Ale jestem głupia...

Włączam i wyłączam radio.

Wraca teść.

- Nie przejdiesz się tam? Niczego nie potrzebujesz?

Kiwam głową, że tak.

Naciskam nie ten guzik i mój kubek napełnia się jakimś ohydny płynem. Wyrzucam kubek do kosza razem z zawartością.

Kupuję w sklepiku paczkę pieluszek dla Lucie i szczoteczkę do zębów dla siebie.

Teść upiera się, że nie ruszy z miejsca, jeżeli nie opuszczę oparcia.

Otwieram ponownie oczy, gdy wyłącza silnik.

- Nie ruszaj się. Dopóki w środku jest ciepło, zostań tu z dziewczynkami. Włączę grzejniki w twoim pokoju i wrócę po was.

Znowu modlę się do mojej komórki. O czwartej nad ranem... Ale jestem głupia.

O tym, żebym zasnęła, nie ma mowy.

Położyliśmy się we trzy w łóżku babki Adriena. W tym, które tak potwornie skrzypi. W naszym łóżku.

Kochaliśmy się w nim, poruszając się jak najmniej.

Cały dom wiedział o każdej zmianie pozycji ramienia czy nogi. I te niedomówienia Christine, gdy pierwszego ranka zeszliśmy na dół. Czerwieniliśmy się pochyleni nad filiżankami i trzymaliśmy się pod stołem za ręce. Lekcja nie poszła na marne. Odtąd kochaliśmy się najdyskretniej w świecie.

Wiem, że nie minie wiele czasu, a on wróci do tego łóżka z jakąś inną, z którą także zdejmie ten wielki materac i rzuci go na podłogę, kiedy już dłużej nie będą mogli wytrzymać skrzypienia.

Budzi nas Marion, która urządza swojej lalce biegi po kołdrze, opowiadając jej historię o fruujących lizakach. Lucie dotyka moich powiek: „Masz całkiem sklezione rzęsy”.

W pokoju jest tak zimno, że ubieramy się pod kołdrą.

Dziewczynki zaśmiewają się przy każdym skrzypnięciu łóżka.

Teść napalił w kuchni. Widzę go w głębi ogrodu, gdzie spod daszka komórki wybiera kawałki drewna.

Jeszcze nigdy nie byłam z nim sam na sam.

W jego towarzystwie nie czułam się swobodnie. Zbyt zdystansowany. Zbyt milczący. No i to wszystko, co opowiadał mi o nim Adrien - o trudnym dorastaniu pod jego badawczym wzrokiem, o jego surowości, wybuchach złości, o katordze lat szkolnych.

Podobnie z Suzanne. Nigdy nie dostrzegłam między nimi odrobiny czułości. „Pierre nie jest zbyt wylewny, ale ja wiem, co do mnie czuje” zwierzyła mi się pewnego dnia, gdy przy obieraniu fasolki rozmawialiśmy o miłości.

Pokiwałam głową, ale nie rozumiałam. Nie rozumiałam tego mężczyzny, który się oszczędzał i hamował prawdziwe porywy. Nie okazywać nigdy strachu, żeby nie zostać posądzonym o słabość! - nie byłam w stanie tego zrozumieć. W *moim* domu dotyk, pocałunek są równie naturalne jak oddech.

Pamiętam pewien burzliwy wieczór w tej kuchni... Moja szwagierka Christine narzekała na belfrów swoich dzieci, mówiąc, że są niekompetentni i ograniczeni. Od słowa do słowa rozmowa przeszła na wychowanie w ogóle, a następnie na jej w szczególności. I wiatr powiał w przeciwną stronę. Perfidnie. Kuchnia zamieniła się w salę sądową. Adrien i jego siostra w roli prokuratorów, a na ławie oskarżonych ich ojciec. Chwilami bywało to bardzo przykre... I żeby choć raz wybuchła bomba, ale nie. Rozgoryczeni rejterowali, opanowywali się i w ten sposób unikano czołowego zderzenia, poprzestając na zabójczych docinkach.

Jak zawsze.

Swoją drogą, jak to w ogóle było możliwe? Ano, mój teść odmawiał wstąpienia w szranki. Wysłuchiwał cierpkich słów swoich dzieci i nie odpowiadał na nie. „Wasza krytyka spływa po mnie jak woda po gęsi” - podsumowywał, uśmiechając się wciąż i zbierając do wyjścia.

Jednak tym razem wymiana poglądów była ostrzejsza.

Jak dziś widzę jego napiętą twarz, ręce ściskające karafkę z wodą, jakby chciał ją skruszyć na naszych oczach.

Wymyślałam wszystkie możliwe słowa, których nigdy nie powiedział, i próbowałam zrozumieć. Co tak naprawdę do niego dociera? O czym myśli, gdy jest sam? Jak zachowuje się w sytuacjach intymnych?

W ostateczności Christine przerzuciła się na mnie:

- A co ty o tym wszystkim sądzisz, Chloé?

Byłam zmęczona i chciałam, żeby ten wieczór się skończył. Dość się już nasłuchiwałam ich rodzinnych historii.

- Ja... - zamyśliłam się - ja... uważam, że tak naprawdę Pierre żyje wśród nas, ale jest jakby nieobecny. Przypomina Marsjanina zagubionego pośród rodziny Dippelów...

Pozostali wzruszyli ramionami i dali spokój. Ale nie on.

Odstawił karafkę i uśmiechnął się do mnie, ukazując mi inną twarz. Po raz pierwszy, i chyba ostatni, widziałam go uśmiechającego się. Odniosłam wrażenie, że tego wieczoru zrodziło się między nami pewne porozumienie... Coś bardzo subtelnego, wręcz nieuchwytnego. Tak jak potrafiłam, próbowałam bronić tego mojego dziwnego

Marsjanina o szpakowatych włosach, który zbliża się teraz do drzwi kuchennych, pchając taczkę wyładowaną drewnem.

*

- No jak? Nie jest ci zimno?

- Nie, nie.

- A małe?

- Oglądają kreskówki.

- O tej porze puszczają filmy rysunkowe?

- W czasie wakacji zawsze są poranki dla dzieci.

- Skoro tak... świetnie. Znalazłaś kawę?

- Tak, tak, wielkie dzięki.

- A ty, Chloé? Czy nie sądzisz, że powinnaś...

- Zadzwoić do firmy?

- Tak, zresztą nie wiem.

- Tak, tak, zadzwonię, zadzwonię...

I znów się rozplakałam.

Mój teść spuścił wzrok. Zaczął zdejmować rękawiczki.

- Przepraszam, że się wtrącam w nie swoje sprawy.

- Nie, nie, to dlatego, że... chodzi o to... Czuję się zagubiona. Zupełnie się pogubiłam... Ja... masz rację, zaraz zadzwonię do pracy.

- Kim jest twój szef?

- To przyjaciółka, no, w każdym razie tak sądzę. Zaraz się przekonamy...

Ściągnęłam włosy należącą do Lucie kolorową gumką, która zawieruszyła mi się w kieszeni.

- Wystarczy, jeżeli jej powiesz, że bierzesz parę dni wolnych, bo musisz się zająć swoim zgryźliwym starym teściem... - podsunął.

- Dobrze... Powiem zgryźliwym i zniedołężniałym. To zabrzmia poważniej.

Uśmiechnął się, dmuchając w swoją filiżankę kawy.

Nie zastałam Laury. Udało mi się wykrztusić trzy słowa do jej sekretarki, która akurat miała rozmowę na drugiej linii.

Zadzwoiłam też do siebie. Wystukałam kod zdalnego odsłuchiwania sekretarki. Wiadomości bez znaczenia.

A niby czego się spodziewałam?

I znów wezbrały łzy.

Teść wszedł i natychmiast wyszedł.

„No, musisz się wypłakać, raz a dobrze - mówiłam sobie w myślach. - A potem otrzeć łzy, wyżyć gąbkę, pozbierać się i zamknąć ten rozdział. Myśleć o czymś innym. Stawiać krok po kroku i zacząć wszystko od nowa”.

Mówiono mi to sto razy. Ależ nie myśl o tym, na Boga. Życie idzie naprzód. Pomyśl o córkach. Nie wolno ci się poddawać. Otrząśnij się.

Tak, wiem, dobrze to wiem, ale zrozumcie: to mi nie wychodzi.

Po pierwsze, co to znaczy żyć? Co to znaczy?

Moje dzieci, ale co mogę im dać? Mamę, która z trudem żyje? Świat wywrócony do góry nogami? Nie potrafię udawać, że wszystko jest w porządku.

Tak naprawdę to mogę wstać rano, ubrać się, zjeść śniadanie, ubrać małe, nakarmić je, dotrwać do wieczora, położyć je spać, obejmując i całując na dobranoc. To mogę robić. Każdy może. Ale nic więcej.

Litości.

Nic więcej.

- Mamo!

- Tak? - odpowiadam, wycierając rękawem nos.

- Mamo!

- Jestem, jestem tutaj...

Lucie stanęła przy mnie w płaszczyku narzuconym na nocną koszulkę. Obracała swoją Barbie, trzymając ją za włosy.

- Wiesz, co dziadek powiedział?

- Nie.

- Powiedział, że pójdziemy coś zjeść do McDonalda.

- Nie wierzę - odpowiedziałam.

- Ależ tak. To prawda! Sam nam to powiedział.

- Kiedy?

- Przed chwilą.

- Ale przecież on nie cierpi McDo...

- Nic podobnego! Powiedział, że zrobimy zakupy, a potem pójdziemy do McDonalda - wszyscy, nawet ty, nawet Marion, nawet ja i nawet on!

Kiedy wchodziłyśmy po schodach, wzięła mnie za rękę.

- Wiesz? Ja nie mam tu prawie żadnych ubrań. Zapomnialiśmy je zabrać z Paryża.

- To prawda - przyznałam - zapomnialiśmy.

- A wiesz, co powiedział dziadek?

- Nie.

- Powiedział do Marion i do mnie, że kiedy pójdziemy po zakupy, kupi nam ubrania. Takie, które same będziemy sobie mogły wybrać.

- Ach tak?

Przewijałam i ubierałam Marion, łaskocząc ją w brzusek.

W tym czasie Lucie, siedząc na brzegu łóżka, powoli zmierzała do celu.

- I powiedział, że się zgadza...

- Na co się zgadza?

- Zgodził się na wszystko, o co go poprosiłam...

Nieszczęście.

- O co go poprosiłaś?

- O ubrania dla Barbie.

- Dla twojej Barbie?

- Dla mojej Barbie i dla mnie. Takie same dla nas obu.

- Chodzi ci o te okropne błyszczące podkoszulki?

- Tak, a nawet o cały komplet: różowe džinsy, różowe sportowe buty z napisem Barbie na podeszwach, skarpetki z kokardką... No wiesz... z małą kokardką z tyłu...

Pokazuje na swoją łydkę. Ułożyłam z powrotem Marion.

- Super, będziesz wyglądać superrr!!! - dokuczam Lucie.

Widzę, jak wykrzywają jej się usta w podkówkę.

- Dla ciebie wszystkie piękne rzeczy są brzydkie...

Śmieję się i całuję jej uroczo naburmuszoną buzię.

Nakłada sukienkę i dalej marzy.

- Prawda, że będę piękna?

- Już jesteś piękna, myszeczko, już jesteś bardzo piękna.

- No tak, więc będę jeszcze piękniejsza...

- Myślisz, że to możliwe?

Zastanawia się.

- Tak myślę...

- No to odwróć się teraz.

Córki to wspaniały wynalazek, myślę, czesząc jej włosy, naprawdę wspaniały...

Kiedy staliśmy w kolejce do kasy, teść wyznał mi, że od ponad dziesięciu lat jego noga nie postąpiła w żadnym supermarkecie.

Pomyślałam o Suzanne.

Zawsze samej, pchającej swój wózek.

Zawsze wszędzie samej.

Po zakupach dziewczynki bawiły się w czymś w rodzaju klatki wypełnionej kolorowymi piłeczkami. Młody człowiek poprosił je, żeby zdjęły obuwie, a ja trzymałam na kolanach monstrualne sportowe buciki Lucie „You`re a Barbie girl!”.

Najgorsze w nich były przezroczyście obcasy.

- Jak mogłeś kupić takie paskudztwo?

- Sprawilo im to wiele radości... Staram się nie popełniać z młodym pokoleniem dawnych błędów... Rozumiesz, to jest tak jak z tym miejscem... Nigdy bym tutaj nie wszedł z Christine i Adrienem, gdyby przed trzydziestu laty istniała taka możliwość. Nigdy! A dlaczego - zapytuję siebie dzisiaj - niby dlaczego pozbawiać dzieci tego rodzaju przyjemności? Co by mnie to kosztowało? Marne piętnaście minut? Co to znaczy wobec zaróżowionych, tryskających radością buzi twoich dziewczynek?

- Robię wszystko na odwrót - dodał, kiwając głową - chyba nawet tego cholernego sandwicza trzymam spodem do góry.

Całe spodnie miał w majonezie.

- Chłóć?

- Tak?

- Chcę, żebyś coś zjadła... przepraszam, że mówię jak Suzanne, ale od wczoraj nie miałaś nic w ustach...

- Nie mogę...

- No bo jak można jeść podobne świństwo?! - rozłościł się. - Kto to w ogóle może jeść? No? Powiedz? Kto? Nikt!

Uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

- Zgoda, bądź sobie na diecie, ale tylko do wieczora. A potem koniec! Osobiście przygotuję kolację, a ty będziesz musiała zaszczyścić ją swoją obecnością, zrozumiano?

- Zrozumiano.

- A to co? Jak się je to coś dla kosmonauty?

Wskazał jakąś dziwną sałatkę w plastikowym shakerze.

*

Resztę popołudnia spędziliśmy w ogrodzie. Dziewczynki szczebiotały i kręciły się koło dziadka, który uparł się naprawić starą huśtawkę. Obserwowałam ich z daleka, siedząc na stopniach zewnętrznych schodów. Było zimno, było pięknie. Słońce rozświetlało im włosy i wydawali mi się tacy ładni.

Myślałam o Adrienie.

Co teraz robi?

Gdzie jest w tej chwili?

I z kim?

A nasze życie? Jakie ono teraz będzie?

Każda kolejna myśl przygnębiała mnie coraz bardziej. Byłam taka zmęczona. Zamknęłam oczy. Śniłam na jawie, że on przyjeżdża. Słyszałam warkot motoru na podwórzu, czułam, jak Adrien siada koło mnie, całuje i kładzie palec na ustach, żebym milczała, chce bowiem zrobić dziewczynkom niespodziankę. Prawdziwy jest dotyk warg na mojej szyi, dźwięk jego głosu, ciepło bijące od jego ciała i zapach skóry, wszystko...

Wszystko...

Wystarczy, że o tym pomyślę.

Po jakim czasie zapomina się zapach kogoś, kto nas kochał? A kiedy samemu przestaje się kochać?

Podajcie mi klepsydrę.

Kiedy obejmowaliśmy się ostatni raz, to ja go pocałowałam. To było w windzie na ulicy Flandre. Wcale się nie opierał.

Dlaczego? Dlaczego pozwolił całować się kobiecie, której nie kochał? Dlaczego odwzajemnił pocałunek? Dlaczego wziął mnie w ramiona?

To nie ma sensu.

Huśtawka naprawiona. Pierre zerka w moją stronę. Odwracam głowę. Unikam jego wzroku. Zimno mi, jestem zasmarkana, a poza tym muszę iść i nagrzać łazienkę.

- W czym ci pomóc? Obwiązał biodra ścierką.

- Lucie i Marion są już w łóżku?

- Tak.

- Nie zmarzną?

- Nie, na pewno nie. Powiedz, co mogłabym zrobić...

- Możesz popłakać, ale tak, żebym choć raz nie czuł się zdruzgotany... Wolę, żebyś płakała bez powodu. Masz, pokrój to - dodał, wręczając mi trzy cebule.

- Uważasz, że za często płaczę?

- Tak.

Zamilkliśmy oboje.

Chwyliłam drewnianą deskę i usiadłam naprzeciw niego. Znow miał napięte rysy twarzy. Słysząc tylko trzaskanie ognia.

- Nie to chciałem powiedzieć...

- Słucham?

- Nie chciałem powiedzieć, że za dużo płaczesz, tylko że mnie to przygnębia. Jesteś taka urocza, gdy się uśmiechasz...

- Napijesz się czegoś?

Kiwnęłam głową.

- Niech się trochę ogrzeje, szkoda byłoby zmarnować... na razie może napijesz się bush-millsa?

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego?

- Nie lubię whisky.

- Biedactwo! Nie wiesz, co mówisz! Spróbuj tylko...

Podniosłam szklaneczkę do ust. Ohyda! Od wczoraj nic nie jadłam i upiłam się tym jednym łykiem. Nóż ślizgał się po skórce cebuli, zdrętwiał mi kark. Niewiele brakowało, a obciąłabym sobie palec. Jednak poczułam się lepiej.

- Dobrze, prawda? Dostałem tę butelkę od Patricka Friendalla na sześćdziesiąte urodziny. Pamiętasz Patricka Friendalla?

- Hmm... nie.

- Przypomnij sobie. Chyba go tutaj spotkałaś, nie pamiętasz? Wielki facet z potężnymi barami...

- Ten, który podrzucał Lucie do sufitu, a ona o mało nie zwymiotowała?

- Ten sam - odparł Pierre, nalewając mi kolejną szklaneczkę.

- Tak, teraz sobie przypominam...

- Bardzo go lubię i często o nim myślę... Dziwne, ale uważam go za jednego z moich najlepszych przyjaciół, choć ledwo go znam...

- Ty masz najlepszych przyjaciół?

- Dlaczego o to pytasz?

- Tak sobie. Właściwie... Sama nie wiem. Nigdy nie słyszałam, żebyś o nich mówił.

Mój teść skoncentrował całą uwagę na krojeniu marchewki w plasterki. Widok mężczyzny, który pierwszy raz w życiu zajmuje się kuchnią, zawsze jest zabawny. Ten sposób, w jaki dokładnie, co do kropki, stosuje się do przepisu, tak jakby Ginette Mathiot była boginią, która może się obrazić.

- Napisała, żeby „pokroić marchewkę w średniej wielkości talarki”, uważasz, że tak jest dobrze?

- Doskonale!

Zaśmiałam się. Moja pozbawiona karku głowa zakołysała się na ramionach.

- Dziękuję... Na czym to ja skończyłem? Aha, na przyjaciółach... Właściwie to miałem ich trzech... Patricka, którego poznałem podczas podróży do Rzymu... Parafialna dewocja... Moja pierwsza podróż bez rodziców... Miałem piętnaście lat. Nie rozumiałem nic z tego, co bełkotał ten dwa razy większy ode mnie Irlandczyk, ale od razu skumaliśmy się. Został wychowany przez najgorliwszych katolików na świecie, ja zaś właśnie wyrwałem się z dusznej atmosfery rodzinnej. Dwa młode psiaki spuszczone ze smyczy w Wiecznym Mieście... To była pielgrzymka!

Gdy to wspominał, czuło się dreszczyk tamtych emocji.

Rumienił w rondlu cebulę i marchewkę z kawałkami wędzonego boczku. Pachniało bardzo ładnie.

- Dalej Jean Théron, którego znasz, i Paul, mój brat, którego nigdy nie widziałaś, ponieważ zmarł w pięćdziesiątym szóstym...

- Uważałeś brata za swojego najlepszego przyjaciela?

- Był kimś więcej niż przyjacielem... Jak cię znam, Chloé, uwielbiałabyś go. Był wrażliwym, zabawnym, zawsze pogodnym i uważającym na ludzi chłopcem. Malował... Jutro pokażę ci jego akwarele, mam je w biurku. Znał śpiew wszystkich ptaków. Był przekorny, ale nigdy nikogo nie ranił. Był czarującym chłopcem. Naprawdę czarującym. Zresztą wszyscy go uwielbiali.

- Na co zmarł?

Mój teść spuścił głowę.

- Był w Indochinach. Wrócił stamtąd chory na malarię i na wpół obłąkany. Umarł na gruźlicę czternastego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku.

- Sama rozumiesz, że potem moi rodzice już nigdy nie oglądali żadnych defilad. Dla nich skończyły się tańce i fajerwerki.

Dorzucał do rondla kawałki mięsa i mieszał je dokładnie, żeby się równo rumieniły.

- Najgorsze, rozumiesz, że zgłosił się na ochotnika... W tym czasie był studentem. Jednym z lepszych. Błyskotliwym. Chciał pracować w ministerstwie leśnictwa. Kochał drzewa i ptaki. Nie powinien był tam jechać. Nie miał żadnego powodu, żeby tam jechać. Żadnego. Był człowiekiem łagodnym, pacyfistą, który cytował współczesnego barda prowansalskiego Giono i który...

- Więc dlaczego?

- Z powodu dziewczyny. Cieleca miłość, a potem rozczarowanie. Takie nic, to nawet nie była dziewczyna, smarkula. Niedorzeczna historia. Kiedy ci to mówię, ilekroć to mówię, poraża mnie marność naszego życia. Dobry chłopak, który wyrusza na wojnę z powodu kapryśnej panienki, czy to nie ironia losu? Jak w marnej powieści, którą bierze się do przeczytania w pociągu. Prawdziwy melodramat.

- Nie kochała go?

- Nie, ale Paul szalał na jej punkcie. Uwielbiał ją. Poznał ją, gdy miała dwanaście lat, pisał do niej listy, których nie była w stanie zrozumieć. Pojechał na wojnę, bo poniosła go brawura. Chciał jej pokazać, jaki z niego mężczyzna! Jeszcze w przeddzień wyjazdu puszył się, osioł: „Jeśli poprosi, nie dawajcie jej mojego adresu, pierwszy do niej napiszę...”.

Wsypał do mięsa z dziesięć różnych ziół i przypraw - wszystko, co znalazł w kredensie. Ciekawe, co by na to powiedziała Ginette...

- Kawał rubasznego chłopaka, który całymi dniami nie robił nic innego, tylko filetował mięso na zapleczu sklepu ojca. Wyobrażasz sobie, jaki to był dla nas szok? Wzgardziła naszym Paulem i wybrała takie wielkie nic. Był tam, na drugim końcu świata, pewnie akurat o niej myślał, ten idiota, a ona? Jej jedynym marzeniem były wypadki w sobotnie wieczory z tym nieokrzesanym typem, który mógł pożyczać samochód od ojca. Pamiętam nawet, że to była jasnoniebieska fregata. Oczywiście, miała wolną wolę i nie musiała kochać Paula, oczywiście, ale Paul był zbyt egzaltowany i jak już coś robił, to na całego. Zmarnowane życie...

- A potem?

- Potem? Nic. Paul wrócił, a moja matka zmieniła rzeźnika. Dużo czasu spędził w tym domu, prawie nie wychodził z pokoju. Rysował, czytał, narzekał, że źle sypia. Bardzo cierpiał, bez przerwy kaszlał, a potem umarł. Miał dwadzieścia jeden lat.

- Nigdy o tym nie mówiłeś...

- Nie.

- Dlaczego?

- Wolałem o tym rozmawiać z ludźmi, którzy go znali, tak było łatwiej...

Odsunęłam się z krzesłem od stołu.

- Już nakrywam. Gdzie chcesz zjeść kolację?

- Tutaj, w kuchni, tu jest dobrze.

Zgasił górne światło i usiedliśmy naprzeciwko siebie.

- Pyszne.

- Naprawdę tak uważasz? Moim zdaniem mięso jest trochę rozgotowane, nie?

- Nie, skądże, zapewniam cię, że jest idealne.

- Jesteś zbyt dobra.

- To raczej twoje wino jest dobre. Opowiedz mi o Rzymie...

- O mieście?

- Nie, o tej pielgrzymce... Jaki byłeś, gdy miałeś piętnaście lat?

- Och... Jaki byłem? Byłem najgłupszym chłopcem pod słońcem. Za wszelką cenę chciałem dorównać Frandalowi. Kłapałem dziobem jak najęty, opowiadałem o Paryżu, o Moulin Rouge, przytakiwałem mu we wszystkim, bezczelnie łągałem. Spędzaliśmy czas na wykradaniu monet z fontann i na zgrywaniu się przed każdą mijaną osobą płci przeciwnej. Kiedy tak teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że byliśmy naprawdę żałośni. Nawet nie pamiętam, jaki był cel tej pielgrzymki. A przecież musiał to być jakiś zbożny cel, jak to mówią... Naprawdę nie wiem... Dla mnie to była po prostu potężna dawka tlenu, którym się zachłysnąłem. Tych parę dni zmieniło moje życie. Poznałem smak wolności. To było jak... Nałożyć ci jeszcze?

- Proszę.

- Trzeba jeszcze znać kontekst... Dopiero co przestaliśmy udawać, że wygraliśmy wojnę. Podskórnie czuło się rozgoryczenie, ludzie stali się podejrzliwi. Wystarczyło napomknąć o kimś - o sąsiedzie, sklepikarzu, rodzicach kolegi - a mój ojciec już ich szufladkował: donosiciel albo zadenuncjowany, tchórz albo zwyczajne zero. To było okropne. Nie możesz sobie tego wyobrazić, ale wierz mi, że to okropne dla dzieciaka... Zresztą prawie się do siebie nie odzywaliśmy... w każdym razie bardzo rzadko... Minimum słów... Ale pewnego dnia zapytałem go: „Skoro ta twoja ludzkość okazała się taka wredna, to po co o nią walczyłeś?”.

- I co odpowiedział?

- Nic...

Zbył mnie pogardliwie.

- Dziękuję, dziękuję, nie nakładaj tak dużo!

- Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze szarego budynku w samym środku szesnastej dzielnicy. To było żałosne... Moich rodziców nie stać było na to mieszkanie, ale liczył się adres, rozumiesz. Szesnasta dzielnica to było coś! Gnieździliśmy się w ponurym mieszkaniu, gdzie nigdy nie zaglądało słońce. Matka zabraniała otwierać okna, bo tuż pod nami była zajezdnia autobusów. Bała się, żeby zasłony nie... nie ściemniały... Och, to niewiarygodne, ale jeszcze dzisiaj, kiedy

myślę o ich „uroczym” kolorze bordo, robi mi się niedobrze. Potwornie się nudziłem. Byłem za młody, żeby zwrócić na siebie uwagę ojca, a matka była wiecznie zaaferowana. Często wychodziła. „Ach, ten czas, który poświęcam parafii” - mówiła i wznosiła oczy do nieba. Za dużo brała na swoje barki, drażniła ją głupota niektórych pobożnych paniów, które sama sobie wynajdywała, ściągała rękawiczki, rzucała je na komodę w przedpokoju, tak jakby wreszcie kończyła niewdzięczną pracę, wzdychała, kręciła się w kółko, mówiła bez przerwy, wszystko jej się myliło. Pozwalaliśmy jej się wygadać. Paul nazywał ją Sarą Bernhardt, a ojciec, gdy tylko wychodziła z pokoju, bez komentarza zagłębiał się w lekturze „Figaro”... Ziemniaków?

- Nie, dziękuję.

- Uczęszczałem do półinternatu ekskluzywnego liceum Janson-de-Sailly. Byłem równie ciemny jak nasz dom. Czytałem *Waleczne serca* i przygody Flasha Gordona. Co czwartek grywałem w tenisa z synami Mortellierów. Byłem... Byłem dzieckiem bardzo układnym i bez żadnych zainteresowań. Marzyłem, żeby wsiąść do windy i wjechać na szóste piętro, żeby zobaczyć... To dopiero byłaby przygoda!... Wjechać na szóste piętro! Co za głupek, daję słowo...

Czekałem na kogoś takiego jak Patrick Frendall jak na zbawienie.

Wstał, żeby dorzucić do pieca.

- Zresztą... To nie była żadna rewolucja... Co najwyżej trudny okres dorastania i szukanie własnej drogi. Wierzyłem zawsze, że... jak by to powiedzieć... że wyrwę się któregoś dnia... jak ten koń z uprzęży. Ale nie. Nigdy. Pozostałem tym samym grzecznym dzieckiem bez zainteresowań. Co ja się tak rozgadałem?

- Bo cię zapytałam...

- No tak... Ale to jeszcze nie powód! Nie zanudzam cię, obnosząc się z tą tanią nostalgią?

- Nie, nie, wręcz przeciwnie, bardzo chętnie słucham...

*

Nazajutrz rano znalazłam na stole kuchennym kartkę: „Pojechałem do biura - wróć”.

Była też ciepła kawa i sterta drewna przy piecu.

Dlaczego mnie nie uprzedził, że wyjeżdża? Co za dziwny człowiek... Zawsze się wymyka i wyślizguje z rąk... Zupełnie jak piskorz...

Nalałam sobie dużą filiżankę kawy i piłam ją na stojąco, opierając się ramieniem o futrynę okna. Obserwowałam rudziki, które jak szalone uwijały się wokół dużego kawałka słoniny, którą dziewczynki położyły wczoraj na ławce.

Było wczesnie. Dopiero co słońce wyłoniło się znad żywopłotu.

Czekałam, aż dziewczynki wstaną. W domu panował zbyt wielki spokój.

Miałam ochotę na papierosa. Kompletny idiotyzm, ponieważ nie palę już od lat. Tak, tak, takie jest życie... Dajecie dowód cholernie silnej woli, po czym, pewnego zimowego poranka, jesteście gotowi maszerować cztery kilometry w chłodzie po paczkę papierosów, albo na przykład kochacie mężczyznę, dorabiacie się dwójki dzieci, po czym, pewnego zimowego poranka, dowiadujecie się, że on odchodzi, bo kocha inną. Dodając przy tym, że jest mu bardzo przykro, że się pomylił, popełnił błąd.

Zupełnie jak z telefonem: „Przepraszam, to pomyłka”.

Ależ nic nie szkodzi...

W gardle czuję bolesne dławienie.

Wieje wiatr. Wychodzę i przekładam słoninę w zaciszne miejsce.

Oglądam z dziewczynkami telewizję. Jestem zdruzgotana. Bohaterowie ich kreskówek wydają mi się prostacy i bezmyślni. Lucie złości się, potrząsa głową, prosi, żebym zamilkła. Chcę jej opowiedzieć o Candy.

Kiedy byłam mała, miałam fioła na punkcie Candy. Candy nigdy nie mówiła o pieniądzach. Wyłącznie o miłości. Po chwili milknę. I co z tego, że postępowałam jak ta nieżyciowa Candy?

Wieje coraz mocniej. Rezygnuję z wyprawy do miasteczka.

Po południu urzędujemy na strychu. Dziewczynki bawią się w najlepsze. Przebierają się. Lucie macha starym wachlarzem przed nosem siostry:

- Pani hrabinie jest za gorąco?

Pani hrabina nie może się ruszyć. Na głowie ma za dużo kapeluszy.

Znosimy starą kołyskę. Lucie mówi, że trzeba ją przemaalować.

- Na różowo? - pytam.

- Skąd wiesz?

- Jestem bardzo domyślna.

Dzwoni telefon. Odbiera Lucie. Na koniec słyszę, jak pyta:

- Chcesz rozmawiać z mamą?

Po chwili odkłada słuchawkę. Nie wraca do nas.

Razem z Marion powracamy do opróżniania dziecięcego łóżeczka.

Odnajduję Lucie w kuchni. Siedzi przy stole z brodą opartą o blat. Przysiadam obok.

Przyglądamy się sobie.

- Czy ty i tata będziecie jeszcze kiedyś zakochani?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Właściwie to i tak wiedziałam...

Wstając, dodaje:

- Wiesz, co jeszcze ci chciałam powiedzieć?

- Nie. Co?

- No więc, że ptaki już wszystko zjadły...

- Naprawdę? Jesteś tego pewna?

- Tak, chodź i zobacz.

Obeszła stół i wzięła mnie za rękę.

Stałyśmy przy oknie. Przy mnie była ta mała jasnowłosa dziewczynka. Ubrana w stary gors od smokingu i w pogryzioną przez mole spódnicę. Jej „You`re a Barbie girl!” zmieściły się w buci-
kach jej prababki. Dużą matczyną dłonią obejmowałam jej całą rączkę. Przyglądałyśmy się
drzewom w ogrodzie, szarpanym i wyginanym przez wiatr, i chyba myślałyśmy o tym samym...

W łazience jest tak lodowato, że nie mam odwagi wynurzyć ramion z wody. Lucie umyła
nam włosy szamponem, wymyślając przy okazji całą masę szalowych fryzur. „Spójrz na siebie,
mamo. Masz rogi na głowie!”.

Nie odkryła nic nowego.

Chociaż nie było w tym nic zabawnego, roześmiałam się.

- Dlaczego się śmiejesz?

- Bo jestem głupia.

- A dlaczego jesteś głupia?

Tańczyłyśmy, żeby się osuszyć.

Wciągnęłyśmy na siebie koszule nocne, skarpetki, pantofle, swetry, szlafroki i na to
wszystko jeszcze raz swetry.

Moje małe głodomory zeszły na dół na zupe.

Akurat gdy Babar zabawiał się w windzie supermarketu pod okiem rozszluszczonego
windziarza, wysiadł prąd. Marion się rozbeczała.

- Zaczekaj chwilę, zaraz to naprawię.

- Bee...

- Przestań, Barbie girl, teraz już i twoja siostra zaczyna płakać.

- Nie nazywaj mnie Barbie girl!

- Więc przestań.

To nie było zwanie ani przepalone korki. Okiennice stukały, drzwi skrzypiały i cały dom
był pogrążony w ciemności.

Siostry Brontë, wstawcie się za nami.

Ciekawe, kiedy wróci Pierre.

Zniosłam materacyki dziewczynek do kuchni. Bez elektrycznego grzejnika nie ma mowy o spaniu na górze. Roily się i szalały jak pchły. Odsunęłyśmy stół i urządziłyśmy prowizoryczne legowisko koło pieca.

Wyciągnęłam się między nimi.

- A Babar? Nie dokończyłaś...

- Cicho, Marion. Lepiej patrz przed siebie. Wpatruj się w ogień, a opowie ci przeróżne historyjki...

- Tak, ale...

- Pst...

Już po chwili spały.

Wsluchiwałam się w odgłosy domu. Drapało mnie w nosie, tarłam oczy, żeby nie płakać.

Moje życie jest jak to łóżko, pomyślałam. Byle jakie. Niepewne. Niestale.

Czekałam tylko, kiedy dom pofrunie w powietrze i poszybuje w bezkresne niebo.

Pomyślałam, że zostałam zluzowana.

Zabawne, jak pewne słowa i wyrażenia nabierają różnych znaczeń. Trzeba się strasznie bać, by zrozumieć „zimne poty”, albo odczuwać ogromny niepokój, żeby „ściśnięty żołądek” wydzielił cały sok, prawda?

Podobnie jest ze „zluzowaniem”. Wspaniałe określenie. Kto je wymyślił?

Zluzować cumy.

Zluzować swoją kobietę.

Wypłynąć na pełne morze, rozwinąć skrzydła jak albatros i pieprzyć się pod inną szerokością geograficzną.

Nie, naprawdę, lepiej tego nie można wyrazić...

Robię się zła, to dobry znak. Jeszcze parę tygodni, a naprawdę stanę się jędzowata.

Nic bardziej zwodniczego, jak pewność, że jest się mocno przycumowanym. Uwaga, to pułapka! Bierze się kredyty, podejmuje decyzje, zobowiązania, a potem także pewne ryzykowne przedsięwzięcia. Kupuje się domy, urządza różowe pokoje dla nowo narodzonych dzieci, a wszystkie noce spędza się w uścisku drugiej osoby. Zachwyca nas to... No, jak to się mówi? Aha, wzajemne porozumienie. No właśnie, tak się mówi, kiedy jest się szczęśliwym. I potem, kiedy jest się trochę mniej...

Pułapką jest sądzić, że ma się prawo do szczęścia.

Ale z nas głupcy. Na tyle naiwni, by wierzyć, że panujemy nad biegiem naszego życia.

A życie nam umyka, ale to nieważne... W końcu ono nie ma większego znaczenia...

Idealem byłoby wiedzieć o tym wcześniej.

„Wcześniej”, to znaczy kiedy?

Wcześniej.

Na przykład przed pomalowaniem pokoi na różowo.

Pierre ma rację. Po co okazywać słabość? Żeby dostawać pałką po głowie?

Moja babka często mawiała, że miłych mężczyzn zatrzymuje się dobrymi domowymi potrawami. Daleko mi do tego, babuniu, daleko. Po pierwsze, nie umiem gotować, a poza tym nigdy nie miałam zamiaru nikogo zatrzymywać.

No cóż, wnuczko, udało ci się!

Żeby to uczcić, nalewam sobie odrobinę koniaku.

Jedna łąza i lulu.

Następny dzień zdawał się nie mieć końca.

Poszliśmy na spacer. W ośrodku jeździeckim karmiłyśmy konie chlebem i spędziłyśmy z nimi sporo czasu. Marion przejechała się na kucyku. Lucie nie chciała...

Mam wrażenie, jakbym na plecach dźwigała bardzo ciężki wór.

A wieczorem odbył się cyrk. Już takie moje szczęście, że dzień w dzień jest u mnie cyrk. Tym razem dały popis pod tytułem: *Dziewczynka, która nie cie siobie pójsć*. Nieźle się napracowały, żeby mnie rozbawić.

Niedobrze spałam.

Nazajutrz rano na nic nie miałam ochoty.

Dziewczynki nie przestawały się mazać i marudzić.

Spróbowałam odwrócić ich uwagę zabawą w postaci prehistoryczne.

- Popatrzcie, jak ludzie prehistoryczni przygotowywali sobie kakao... Stawiali na ogniu ronderek z mlekiem, o tak, właśnie tak... A co robili, żeby mieć grzanki? Nic prostszego. Kładli na grillu kawałek chleba i... hop! Przypiekali go nad ogniem... Ostrożnie! Nie za długo, bo się zwęgli. Kto się ze mną zabawi w prehistorycznych ludzi?

Miały to gdzieś, nie były głodne. Jedyne, czego chciały, to oglądać te okropieństwa w telewizji.

Sparzyłam się i krzyknęłam, na co Marion rozplakała się, a Lucie wylała kakao na kanapę.

Usiadłam i objęłam głowę rękami.

Marzyłam, żeby móc ją odkręcić, położyć na podłodze przed sobą i dać jej takiego kopa, żeby się odchrzaniła i poleciała, gdzie pieprz rośnie, i żeby jej nigdy nie mogła odnaleźć.

Ale nawet nie umiem kopać.

Jak nic, strzeliłabym obok.

W tym momencie pojawił się Pierre.

Było mu przykro, tłumaczył się, że nie skontaktował się wcześniej, ale linia była uszkodzona, a mówiąc to, potrząsał dziewczynkom przed nosem torbą z ciepłymi rogaliczkami. Zaśmiewały się. Marion wzięła dziadka za rękę, a Lucie wymyśliła zabawę w prehistorycznych ludzi.

- Prehistoryczna kawa? Ależ z przyjemnością, pani Cro-Mignonne!*

Miałam łzy w oczach.

* Gra słów: Cro-Mignonne - słynne stanowisko antropologiczne człowieka kopalnego; *mignonne* - milutka (przyp. tłum.).

Położył rękę na moim kolanie.

- Chloé... Wszystko w porządku?

Miałam ochotę krzyknąć, że nie, że nic nie jest w porządku, ale tak się ucieszyłam z jego powrotu, że kiwnęłam potakująco głową.

- W piekarni mają światło - mówił Pierre - więc to nie może być awaria sieci. Sprawdzę później korki. Hej, dziewczynki, jest wspaniała pogoda! Ubierzcie się, pójdziemy na grzyby. Po wczorajszym deszczu może ich być cała masa!

„Dziewczynki” to także ja... Pobiegłyśmy na górę, śmiejąc się i popiskując. Dobrze jest mieć osiem lat.

Zawędrowaliśmy aż do Diabiego Młyna. Ponura budowla, która od wielu pokoleń przyciąga dzieci i dostarcza im uciechy. Pierre objaśniał dziewczynkom pochodzenie dziur w murze:

- Ta jest od uderzenia rogu... a to są ślady jego sabotów...

- Dlaczego walił sabotami w mur?

- Och... To długa historia... Dlatego, że tego dnia był bardzo zły...

- Dlaczego tego dnia był bardzo zły?

- Bo uciekła mu osoba, którą uwięził.

- Kim była ta osoba, którą uwięził?

- To była córka piekarza.

- Córka pani Pécault?

- Nie, skąd, raczej jej prababka!

- Ach tak?

Pokazałam dziewczynkom, jak w miseczkach żołądzi można przyrządzić obiad na niby. Znalazłyśmy puste ptasie gniazdko, kamyczki, sosnowe szyszki. Zerwałyśmy pierwiosnki i

pokruszyłyśmy gałązki leszczyny. Lucie włożyła do koszyka mech dla swoich lalek, a Marion przez cały czas siedziała dziadkowi na barana.

Znaleźliśmy dwa grzyby. Oba mocno podejrzane!

W drodze powrotnej towarzyszył nam śpiew kosa i zaaferowany głos dziewczynki, która dopytywała się:

- Ale dlaczego diabeł złapał prababcię pani Pécault?

- Nie domyślasz się?

- Nie.

- Bo był strasznie łakomy! Masz pojęcie? Walila patykiem po paprociach, żeby przepędzić demona.

A ja, w co ja mogłabym walić kijem?

- Chloé?

- Tak.

- Chciałbym ci powiedzieć... Mam nadzieję... Nie, raczej chciałbym ci powiedzieć... Tak, właśnie tak - chciałbym... Chciałbym, żebyś przyjeżdżała do tego domu, ponieważ... wiem, jak bardzo go lubisz... Tyle tutaj zrobiłaś... W pokojach... W ogrodzie... Czy wiesz, że wcześniej, przed tobą, nie było tutaj tak ładnie? Obiecuj, że będziesz wracać. Z dziewczynkami albo bez... Odwróciłam się w jego stronę.

- Nie, Pierre. Dobrze wiesz, że nie.

- A twój krzak róży? Jak ona się nazywa? Ta, którą posadziłaś w ubiegłym roku?

- Udo spłoszonej nimfy.

- No właśnie. Tak, bardzo ją lubisz...

- Nie, lubię tylko jej nazwę... Posłuchaj, to wszystko już i tak jest dla mnie trudne...

- Przepraszam, przepraszam.

- A ty nie mógłbyś się nią zajmować?

- Oczywiście! Udo spłoszonej nimfy... Nie umiałbym odmówić.

Trochę za bardzo się silił na beztroski ton.

W drodze powrotnej spotkaliśmy starego Marcela, który wracał z miasteczka. Jechał na rowerze zygzakiem. Jakim cudem udało mu się zatrzymać przy nas i nie spaść, tego się nigdy nie dowiemy. Posadził Lucie na siodelku i zaprosił nas na lampkę wina wieczorem.

Żona Marcela wycalowała dziewczynki i posadziła je przed telewizorem z torebką cukierków na kolanach. „Mamo, ona ma kablówkę, wiesz? Cały kanał z kreskówkami!”.

Alleluja!

Brnąć na koniec świata, pokonując zarośla, żywopłoty i rowy, zatykać nos, przebiegając przez podwórze starego Marcela, po to tylko, żeby patrzeć, jak w telewizyjnej reklamówce truskawki wpadają do Jogobeli!

Życie potrafi być niesamowite...

Burza, choroba wściekłych krów, Europa, polowanie, zabici i umierający... W pewnym momencie Pierre zapytał:

- Marcel, pamiętasz mojego brata?

- Kogo? Paula? Jak mógłbym nie pamiętać tego łobuziaka! Dostawałem kręcka od tych jego pogwizdywań. Wyobrażałem sobie Bóg wie co, kiedy polowałem. Myślałem nawet, że to jakieś egzotyczne ptaki. A psy to już kompletnie bzikowały! Och, jeszcze jak go pamiętam! Dobry był z niego chłopak... Często chodził z ojcem do lasu... Kazał sobie wszystko pokazywać, objaśniać... Ho, ho... A jakie pytania potrafił zadawać! Mówił, że skończy takie studia, po których będzie mógł pracować w lesie. Pamiętam, co ojciec mu odpowiadał: „Do tego nie potrzeba studiów, mój chłopcze! Czy profesory nauczą cię czegoś więcej ode mnie?”. Wzruszał na to ramionami. Mówił, że chce zobaczyć wszystkie lasy świata, zwiedzić różne kraje, przemierzyć Afrykę i Rosję, ale że później wróci tutaj i wszystko nam opowie.

Pierre słuchał i tylko co jakiś czas kiwał głową, zachęcając do dalszego opowiadania. A Marcel mówił i mówił.

Żona Marcela wstała i wyszła. Wróciła ze szkicownikiem, który nam podała.

- Oto co mały Paul - a właściwie nie mały Paul, bo przecież był już wtedy duży - podarował mi pewnego dnia w podziękowaniu za pączki z konfiturami akacjowymi. Patrzcie, to mój pies.

W miarę jak przewracała kartki, mogliśmy podziwiać małego pieska w różnych pozach. Widać było wyraźnie, że jest niesamowicie rozpaskudzony i uwielbia to.

- Jak się nazywał? - zapytałam.

- Nie nazywał się, ale zawsze przychodził, gdy wołaliśmy: „Gdzie on jest?”, bo ciągle gdzieś znikał. Och... Lubiliśmy tego drania... Aż za bardzo... Już nie pamiętam, kiedy ostatnio oglądałam te rysunki. Niechętnie do nich wracam. Za bardzo kojarzą mi się ze śmiercią...

Rysunki były fantastyczne. „Gdzie on jest” był rudobrazowym foksem z długimi czarnymi wąsami i krzaczastymi brwiami.

- Zginął od kuli. Dureń pokłusował do kłusowników.

Wstałam, trzeba było wracać, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

- Mój brat umarł z powodu deszczu. Przetrzył go w strugach deszczu na punkcie obserwacyjnym, masz pojęcie?

Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt zajęta wypatrywaniem suchych miejsc i omijaniem kałuż.

Dziewczynki poszły spać bez kolacji. Zjadły za dużo cukierków.

Babar odszedł od Starszej Pani. Została sama. Płacze. „Kiedy znów ujrzę mojego małego Babara?” - zadaje sobie pytanie.

Pierre jest nieszczęśliwy. Od dłuższego czasu siedzi w swoim gabinecie. Rzekomo szuka rysunków brata. Szykuję kolację. Spaghetti z kawałkami zapeklowanych przez Suzanne żołądków.

Postanawiamy wyjechać nazajutrz późnym rankiem. A zatem ostatni raz krzątam się w kuchni. Lubiłam tę kuchnię. Rzuciłam makaron na wrzątek, przeklinając w duchu swoją czułościowość: „Lubiłam tę kuchnię...” Obsztorcowałam się, ale oczy miałam pełne łez. Idiotyzm.

Położył na stole niedużą akwarelę. Czytająca kobieta, odwrócona plecami do widza, siedzi na ławce w ogrodzie, z lekko pochyloną głową. Może nie czytała, może drzemała albo marzyła.

W tle dom. Te same schody na taras, zaokrąglone okiennice, tylko białej glicynii już nie ma.

- To moja matka.

- Jak miała na imię?

- Alice.

- To dla ciebie.

Już miałam zaprotestować, ale zrobił srogą minę i przytknął palec do ust. Pierre Dippel nie lubi, żeby mu się sprzeciwiać.

- Zawsze trzeba ci być posłusznym, tak? Nie słuchał mnie.

- Czy kiedykolwiek ktoś ośmielił ci się sprzeciwić? - dodałam, kładąc rysunek Paula na kominku.

- Wszyscy, przez całe życie. Ugryzłam się w język.

Wsparł się na rękach o stół i wstał.

- Czego się napijesz, Chloé?

- Czegoś rozweselającego.

*

Wrócił z piwnicy z dwiema butelkami, które tulił do siebie jak niemowlęta.

- Château Chasse-Spleen. Sam się dziwię... Taki zbieg okoliczności... Tego nam właśnie potrzeba. Wziąłem dwie - jedną dla ciebie i jedną dla mnie.

- Oszalałeś! Powinieneś z tym zaczekać na lepszą okazję...

- Lepszą niż co?

Przysunął swoje krzesło bliżej kominka.

- Niż... Nie wiem... Niż ja... Niż my... Niż ten wieczór...

Objął się ramionami, jakby chciał ogrzać swój skarb.

- Nie ma lepszej okazji, Chloé. Ta jest najlepsza na świecie. Bywam w tym domu od dziecka, zjadłem w tej kuchni tysiące posiłków i wierz mi, że potrafię rozpoznać, co jest, a co nie jest najlepszą okazją!

Żeby nie ten jego pyszałkowaty ton... Jaka szkoda.

Stanął do mnie tyłem i wpatrywał się nieruchomo w ogień.

- Nie chcę, żebyś odeszła, Chloé...

Wylałam makaron na durszlak i przykryłam ściereczką.

- Denerwujesz mnie. Sam nie wiesz, co mówisz. Robisz się męczący na koniec. „Nie chcę, żebyś odeszła”. No i po co mówić coś tak głupiego? Zauważ, że to nie ja odchodzę... Zapomniałeś, że masz syna? Dużego chłopca. I to on odszedł, a nie ja. On! Nie jesteś na bieżąco? No wiesz, aż głupio, żebyś nie wiedział. Więc zaraz ci opowiem, w końcu to nawet zabawna historia! A więc było tak... Właściwie kiedy to było? Nieważne. Pewnego dnia Adrien spakował walizki. Postaw się na moim miejscu. Byłam zdumiona. Tak, tak, bo akurat, o czym może nie wiesz, tak się złożyło, że jestem żoną tego chłopca. Wiesz, co to jest żona - takie praktyczne stworzenie, które zabiera się wszędzie ze sobą i które uśmiecha się, kiedy się je całuje. No więc byłam zdumiona. Możesz sobie wyobrazić, jak się poczułam, widząc go z walizkami przy windzie naszego mieszkania, bąkającego coś pod nosem i jednocześnie zerkającego na zegarek. Bąkał coś, bo był bardzo zdenerwowany, biedny króliczek! Winda, walizki, zoneczka i samolot, ale zgryz! A tak! Bo przede wszystkim nie może się spóźnić na samolot, w którym siedzi kochanka. No wiesz, kochanka - to taka niecierpliwa młoda kobieta, która cię wprawia w stan lekkiego podekscytowania. Nie ma czasu na scenę małżeńską, sam rozumiesz... Poza tym kto to widział? Sceny małżeńskie są w złym guście. Czy nie uczono was tego w rodzinie? Krzyki, sceny, humory - tego się nie robi u Dippelów. To takie pospolite! U Dippelów obowiązuje zasada *never explain, never complain*, co innego, gdy załatwiasz sprawę szybko i bez słów. Z klasą!

- Chloé, przestań, natychmiast!

Rozpłakałam się.

- Słyszysz? Czy ty słyszysz, jak do mnie mówisz?! Przecież nie jestem psem, Pierre. Nie jestem twoim psem, do licha! Pozwoliłam mu odejść, nie wydrapując mu oczu, nie trzaskając za nim drzwiami, i teraz jestem tutaj, z tobą i z dziewczynkami. Jestem jak opoka. Opoka! Rozumiesz to słowo? Czy ktoś słyszał, żebym się użalała, biadoliliła? Nie! Więc nie lituj się nade mną i schowaj swoje śmieszne obiekcje do kieszeni! Mówisz, że nie chcesz, żebym odeszła... Och, Pierre... Będę zmuszona sprzeciwić ci się... Tak mi przykro z tego powodu... Tak mi...

Chwycił mnie za nadgarstki i ścisnął z całej siły. Unieruchomił mi ramiona.

- Puszczaj! To boli! Wy wszyscy w tej rodzinie zadajecie mi ból! Pierre, puść mnie.

Gdy tylko rozluźnił uścisk, moja głowa opadła na jego ramię.

- Wy wszyscy zadajecie mi ból...

Płakałam na jego ramieniu, zapominając, jak bardzo musi się czuć niezręcznie, on, który nigdy nikogo nie dotykał, płakałam, myśląc od czasu do czasu o spaghetti, które będzie niejadalne, jeżeli go w porę nie rozkleję. Mówił: „Już dobrze, dobrze...”. Mówił: „Wybacz mi”. Mówił jeszcze: „Jest mi równie smutno jak tobie...”. I już nie wiedział, co zrobić z rękami.

W końcu odsunął się, żeby nakryć do stołu.

- Za ciebie, Chloé.

Stuknęliśmy się kieliszkami.

- Tak, za mnie - powtórzyłam i uśmiechnęłam się krzywo.

- Jesteś wspaniałą dziewczyną.

- Tak, wspaniałą. A poza tym solidną, dzielną... Co jeszcze?

- Zabawną.

- Ach tak, zabawną, byłabym zapomniała.

- Ale niesprawiedliwą.

- A może nie? Może nie jesteś niesprawiedliwa?

- Uważasz, że nie kocham nikogo poza sobą?

- Tak.

- Więc nie jesteś niesprawiedliwa, jesteś głupia. Podsunęłam mu swój kieliszek.

- Tak, wiem o tym... Nalej mi jeszcze tego cudownego płynu.

- Masz mnie za starego drania?

- Tak.

Pokiwałam głową. Nie kierowałam się złością, byłam nieszczęśliwa.

Westchnął.

- Dlaczego jestem starym draniem?

- Bo nikogo nie kochasz. W nic się nie angażujesz i nic cię nie obchodzi. Jesteś zawsze myślami nieobecny. Trzymasz się od nas na dystans. Nie uczestniczysz w naszych rozmowach ani w wygłupach, nie znizasz się nigdy do naszego poziomu. Bo nie jesteś czuły, bo uciekasz w milczenie, a twoje milczenie przypomina pogardę. Bo...

- Stop, stop, już wystarczy, dziękuję.

- Wybacz, ale odpowiadam na twoje pytanie. Zapytałeś, dlaczego uważam cię za starego drania, więc ci odpowiadam. Tyle że wcale nie uważam, żebyś był aż taki stary...

- Jesteś zbyt łaskawa...

- Dzięki.

Uśmiechnęłam się do niego czule, od ucha do ucha.

- Ale skoro, jak mówisz, jestem taki, to dlaczego cię tutaj przywiozłem? Dlaczego spędzam z tobą czas, opiekuję się tobą i...

- Sam wiesz najlepiej...

- Niby co miałbym wiedzieć?

- Bo tak nakazuje ci przyzwoitość. Ta kokieteria dobrych rodzin. Od siedmiu lat, odkąd wlokę się za wami, po raz pierwszy zainteresowałeś się moją osobą... Powiem ci, co o tym myślę. Nie uważam, żeby to była z twojej strony życzliwość czy też uczynność. Patrzę na to trzeźwo. Twój syn narobił bałaganu, a ty? Ty sprzątasz po nim, wprowadzasz ład, naprawiasz, co się da. Starasz się, jak możesz, ponieważ nie lubisz popękanych filiżanek, kulawych krzeseł, bo to źle wygląda, prawda, Pierre? Och! Bardzo tego nie lubisz...

Coś ci powiem. Myślę, że przywiozłeś mnie tutaj dla zachowania pozorów. Mały popełnił głupstwo, trudno, stało się, więc zaciskamy zęby i bez zbędnych słów załatwiamy sprawę. Kiedyś, dawno temu, gdy Adrien kolejny raz wjechał samochodem na pole wieśniaków, wetknąłeś im piąta. Teraz wywozisz na świeże powietrze synową. Czekam tylko, aż przybierzesz swój stroskany wyraz twarzy i oznajmisz, że mogę na was liczyć. Mam na myśli stronę finansową. To dla ciebie pewien kłopot, prawda? Trudniej zadośćuczynić takiej dużej dziewczynie jak ja, niż dać odszkodowanie za kawałek buraczanego pola...

Podniósł się z miejsca.

- A więc jednak... To prawda... Jesteś głupia. Co za potworne odkrycie!

No cóż, podaj swój talerz.

Stał za mną.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie ranisz. Co więcej, rozdzierasz mi serce. Ale zapewniam cię, że nie mam o to do ciebie pretensji, kładę to na karb twojego żalu i rozgoryczenia...

Postawił przede mną dymiący talerz.

- W twojej mowie oskarżycielskiej jest jeden punkt niezgodny z rzeczywistością.

- Co takiego? - zapytałam, podnosząc wzrok.

- Buraki. W promieniu wielu kilometrów nie ma ani jednego buraczanego pola.

Jest zadowolony z siebie i sili się na dowcip.

- Mmm, pycha... Żałujesz, że tracisz taką kucharkę jak ja, prawda?

- Co do kucharki, zgoda, ale jeśli chodzi o resztę... Przez ciebie straciłem apetyt.

- No coś ty!

- Żartowałem.

- Przestraszyłeś mnie!

- Nie tak łatwo zniechęcić mnie do twoich makaronów...

Wetknął widelec i nabrał dużą porcję sklejonego spaghetti.

- Hmm, jak to się mówi? Ugotowany *al dente*.

Roześmiałam się.

- Lubię, gdy się śmiejesz.

Milczeliśmy długą chwilę.

- Gniewasz się?

- Nie, nie gniewam, raczej niewyraźnie się czuję-

- Przepraszam.

- Bo widzisz, mam wrażenie, jakbym miał przed sobą ogromny węzeł nie do rozwiązania.

- Chciał...

- Cicho! Pozwól mi mówić. Muszę go jednak rozsupłać. To bardzo ważne. Nie wiem, czy potrafisz mnie zrozumieć, ale chociaż mnie wysłuchaj. Nie wiem, od czego zacząć. Mój Boże, jakie to wszystko skomplikowane... Jeżeli pociągnę za niewłaściwą nitkę, węzeł jeszcze bardziej się zapętli. Zaciśnie się tak mocno, że już nic nie da się zrobić. Bo widzisz, Chloé, całe moje życie jest jak zaciśnięta pięść. Mam sześćdziesiąt pięć lat. Jestem starym draniem. Niczego nie zrozumiałem. Boję się własnego cienia i oto stoję w obliczu śmierci i... Nie, proszę, nie przerywaj mi... Pozwól mi otworzyć tę zaciśniętą pięść. Choć odrobinę.

Ponownie nalał nam wina.

- Zacznę od tego, co jest najbardziej niesprawiedliwe, najokrutniejsze... Co dotyczy ciebie...

Położył głowę na oparciu krzesła.

- Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, byłem całkowicie oszołomiony. Do dzisiaj to pamiętam. Widzę cię, jak stoisz w tych drzwiach... Podtrzymywana przez Adriena, wyciągasz do mnie zgrabiałą rękę. Tak bardzo przemarzałaś, że nie byłaś w stanie przywitać się ani wymówić słowa, a gdy uścisnąłem twoją dłoń na powitanie, moje palce zostawiły na niej białe ślady. Pamiętam to dobrze. Pamiętam też jak Adrien, śmiejąc się, powiedział Suzanne, która odchodziła od zmysłów: „Przywiozłem wam Smerfetkę”. Następnie zaniósł cię do łazienki na piętrze, żebyś rozgrzała się w prawie wrzącej kąpiel. Jak długo leżałaś w wannie? Nie pamiętam, pamiętam tylko, jak Adrien powtarzał matce: „Spokojnie, mam, spokojnie! Zaraz usiądziemy do stołu”. Byliśmy bardzo głodni, w każdym razie mnie aż ścisnęło w żołądku. A sama wiesz, jacy bywają starzy dranie, kiedy są głodni... Już chciałem zarządzić, żebyśmy siadali do kolacji bez ciebie, kiedy właśnie się pojawiłaś. Z mokrymi włosami i z nieśmiałym uśmiechem, ubrana w stary kąpielowy szlafrok Suzanne.

Miałaś mocno zaróżowione policzki...

Podczas posiłku opowiedziałaś nam, jak się tu znalazłaś. Stałaś w kolejce po bilet do kina. Chciałaś obejrzeć „Niedzielę na wsi”, ale nie było już wolnych miejsc. Adrien, ten szpaner - jak wiesz, to u nas rodzinne - zatrzymał się przed tobą na motocyklu i zaproponował spędzenie niedzieli na wsi. Powiedział, że albo decydujesz się od razu, albo wcale. Wsiadłaś na tylne siedelko, tak jak stałaś - tylko w podkoszulku i w prochowcu - dlatego tak przemarzałaś. Adrien pożerał cię wzrokiem, ale ty zdawałaś się tego nie zauważać. Ani razu nie podniosłaś głowy. Sądząc po dołeczkach w policzkach, można było przypuszczać, że się uśmiechasz... Pamiętam też, że miałaś niesamowite półtrampki...

- To prawda, były żółte!

- No właśnie! I kto tu ośmiela się krytykować buty, które kupiłem przedwczoraj Lucie! A właśnie, będę musiał jej o tym powiedzieć... Nie słuchaj swojej mamy, kochanie, bo kiedy ją poznałem, miała na nogach żółte półtrampki z czerwonymi sznurowadłami!

- Zapamiętałaś kolor sznurowadeł?

- Zapamiętałem wszystko, Chloé, wszystko, rozumiesz? Czerwone sznurowadła, książkę, którą nazajutrz czytałaś pod wiśnią, podczas gdy Adrien majstrował przy motorze...

- Co to było?

- Czy nie *Świat według Garpa*?

- Zgadza się.

- Pamiętam, że zaproponowałaś Suzanne wykarczowanie krzaków kłujących jeżyn zarastających schodki do piwnicy. Pamiętam rozanielony wzrok, jakim za tobą wodziła. W jej oczach czaiło się nieme pytanie: „Może to będzie moja synowa?”. Zawiozłem was na targ do Saint-Amand. Kupiłaś kozi ser, a potem piliśmy na rynku martini. Czytałaś artykuł, chyba o Andym Warholu.

- To nadzwyczajne! Że też to wszystko pamiętasz... Jak ty to robisz?

- To nie moja zasługa. Po prostu to był jeden z nielicznych wypadków, kiedy przeżywaliśmy coś razem...

- Masz na myśli Adriena?

- Tak...

- Tak.

Wstałam, żeby podać ser.

- Nie, nie, nie zmieniaj talerzy, szkoda fatygi.

- Dawaj! Przecież wiem, że nie cierpisz jeść sera na tym samym talerzu.

- Ja nie cierpię? Och... Rzeczywiście... Jeszcze jeden paskudny nawyk starego drania, prawda?

- Pff... tak, chyba tak...

Krzywiąc się, podał mi swój talerz.

- Wiedźma. Dołączki w policzkach.

- Oczywiście pamiętam wasz ślub... Trzymałaś mnie pod rękę i byłaś taka piękna. W wysokich szpilkach wykręcałaś sobie kostki u nóg. Przechodziliśmy przez plac w Saint-Amand, gdy szepnęłaś mi do ucha: „Powinieneś mnie porwać, wyrzucę te przeklęte pantofle przez okno samochodu i pojedziemy na małże do Yvette...” Twoje słowa przyprawiły mnie o zawrót głowy. Ścisnąłem nerwowo rękawiczki. Proszę, nałóż sobie pierwsza...

- Mów dalej, mów...

- Co jeszcze mógłbym ci opowiedzieć?... Pamiętam dzień, gdy umówiliśmy się w kawiarni. Miałem odebrać od ciebie jakąś łyżkę wazową, czy coś innego, co pożyczyłaś od Suzanne. Musiałem ci się wtedy wydać niemiły, spieszyłem się, byłem zaaferowany... Wyszedłem, zanim wypijałaś herbatę. Pytałem cię o twoją pracę i pewnie nawet nie słuchałem odpowiedzi, tak było... A jeszcze tego samego wieczoru, przy stole, gdy Suzanne zapytała mnie: „Co nowego”?, odpowiedziałem, sam w to nie wierząc: „Chloé jest w ciąży. - Tak ci powiedziała? - Nie. Zresztą ona sama chyba jeszcze o tym nie wie...”. Suzanne wzruszyła ramionami i wzniosła oczy do nieba, ale ja miałem rację. Kilka tygodni później ogłosiliście dobrą nowinę...

- Jak to odgadłeś?

- Sam nie wiem... Chyba dostrzegłem zmianę twojej karnacji, wydało mi się, że jesteś nienaturalnie zmęczona...

- Mógłbym tak w nieskończoność. Sama widzisz, jaka jesteś niesprawiedliwa. Co ty powiedziałaś? Że przez cały ten czas, przez te wszystkie lata nigdy nie interesowałem się twoimi problemami. Oj, Chloé, powinnaś się wstydzić.

Popatrzył na mnie groźnie.

- Natomiast masz rację, mówiąc, że jestem egoistą. Powiedziałem ci, że nie chcę, żebyś odeszła, bo nie chcę, żebyś odeszła. Myślę o sobie. Jesteś mi bliższa niż własna córka. Moja córka nigdy nie powie, że jestem starym draniem, wystarczy, że tak myśli!

Wstał po sól.

- Ale... Co ci jest?

- Nic. Nic mi nie jest.

- Ależ tak. Przecież widzę, że płaczesz. Dać ci wody?

- Tak.

- Och, Chloé... Nie chcę, żebyś płakała. To mnie zasmuca.

- No proszę! Znów ty! Zawsze ty! Jesteś niepoprawny...

Siliłam się na żartobliwy ton, ale oczy miałam pełne łez. To było żałosne.

Śmiałam się i płakałam na przemian. Wino wcale mnie nie rozweseliło.

- Nie powinienem był mówić ci tego wszystkiego.

- Nie, dlaczego? To są także moje wspomnienia... Muszę je trochę uzupełnić. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale ta sytuacja jest dla mnie zupełnie nowa. Jeszcze dwa tygodnie temu byłam beztroską kobietą, żoną i matką. Planowałam wykwintne przyjęcia, dbałam o paznokcie i rozmyślałam dokąd wyjechać na wakacje. Zastanawiałam się: „Zabrać dziewczynki, czy jechać tylko we dwoje?”. Jak widzisz, nie miałam zbyt wielkich problemów...

Myślałam również: „Trzeba by zmienić mieszkanie. To jest niezłe, ale za ciemne, trochę ponure...” Czekałam, aż Adrien będzie miał lepszy dzień, żeby z nim o tym porozmawiać. Ostatnio był w nie najlepszej formie... Poirytowany, drażliwy, zmęczony... Martwiłam się o niego, mówiłam sobie: „Przecież oni go w tej zwariowanej firmie wykończą, kto to widział, żeby pracować tyle godzin, to obłąd”.

Pierre odwrócił się od ognia.

- Całkowicie beztroska, ale niezbyt sprytna, prawda?

Godzinami czekałam na Adriena z kolacją.

Czasami, nie mogąc się go doczekać, zasypiałam. A kiedy w końcu przychodził, robił minę zbitego psa i był pełen skruchy. Rozbudzona, przeciągałam się i szłam do kuchni. Oczywiście nie był głodny. Mówił, że nie ma apetytu, albo że przegryzł coś na mieście.

Ile go musiało kosztować siedzenie naprzeciwko mnie! Jaka byłam męcząca, gdy radośnie uśmiechnięta nieustannie paplałam i opowiadałam ploteczki z życia skweru Firmin-Gédon. Kiedy teraz o tym myślę, wiem, jaka to była dla niego tortura... Lucie wypadł ząb, moja matka nie najlepiej się czuje, młoda Polka, która zajmuje się małym Arthurem, spotyka się z synem sąsiadki, dzisiaj rano skończyłam kleić mój marmur, Marion obcięła włosy i wygląda okropnie, wyglądasz na zmęczonego, weź dzień urlopu, daj rękę, dołóż ci szpinaku? Biedak... prawdziwa tortura dla niewiernego, ale mającego skrupuły mężczyzny. Istna tortura... A ja niczego nie widziałam. Niczego nie podejrzewałam, czy ty to rozumiesz? Jak mogłam być aż tak ślepa? Jak? Albo byłam kompletną idiotką, albo" w pełni mu ufałam. Co, jak widać, na jedno wychodzi...

Odchyliłam się z krzesłem do tyłu...

- Och, Pierre, jakie to życie jest drańskie...

- Prawda, że dobre to wino?

- Bardzo. Szkoda tylko, że obiecuje więcej niż może dać...

- Pierwszy raz piję tę markę.

- Ja też.

- Jest jak twój krzak róży, którą kupiłaś dla etykiety...

- Tak. Życie jest drańskie... Takie byle co.

- Jesteś jeszcze młoda...

- Nie, jestem stara, czuję się staro. Jestem cała pokiereszowana. Chyba stanę się nieufna. Będę patrzeć na życie przez judasza. Nie otworzę więcej drzwi. Odsunąć się. Podać hasło. W porządku, teraz następny. Proszę wejść na sukna. Zostać w przedpokoju. Nie ruszać się.

- Nie, taka się nigdy nie staniesz. Nie potrafisz być taka, nawet gdybyś bardzo chciała. Ludzie nadal będą wkraczać w twoje życie, kiedy będą chcieli, nawet jeśli teraz nie masz na to ochoty. Jeszcze pocierpisz, i tak powinno być. Ale nie martwię się o ciebie.

- Nie, oczywiście...

- Co jest takiego oczywistego?

- Że nie martwisz się o mnie. Podobnie zresztą jak o nikogo...

- To prawda. Masz rację. Nie umiem się pochylać nad nikim.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ponieważ, jak sądzę, inni mnie nie interesują... z wyjątkiem Adriena.

- Co?

- Myślę o nim.

- Martwisz się o Adriena?

- Tak, chyba tak... Tak. Jeśli już się martwię o kogoś, to właśnie o niego...

- Dlaczego?

- Bo jest nieszczęśliwy.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- No nie! Dobre sobie! On jest nieszczęśliwy? Przeciwnie, jest bardzo szczęśliwy! Zamienił starą i nudną żonę na wesołą midynetkę. I dziś żyje mu się o wiele zabawniej, dobrze o tym wiesz!

Podjęłam wyzwanie.

- Popatrz, która jest teraz na przykład godzina? Za kwadrans dziesiąta. I gdzie jest teraz nasz biedny męczennik? Gdzie on jest? W kinie czy w teatrze? A może je gdzieś kolację. Powinni być teraz po przystawkach... Miętosi jej dłoń, marząc o tym, co będzie później. Uwaga, wnoszą główne danie, więc ona wycofuje rękę i przesyła mu uśmiech. Albo może są w łóżku... Co jest chyba najprawdopodobniejsze, nie sądzisz? Na początku, o ile dobrze pamiętam, można się kochać bez końca...

- Jesteś cyniczna.

- Bronię się.

- Cokolwiek robi, jest nieszczęśliwy.

- Chcesz powiedzieć, że z mojego powodu? Przeszkadzam mu w jego szczęściu? Och, niewdzięczna...

- Nie. Nie z twojego powodu, przez siebie. Z powodu życia, które nie ma nic wspólnego z tym, jakie powinno być. Nasze wysiłki są śmiechu warte...

- Masz rację. Nasze biedne małżeństwo.

- Ty mnie nie słuchasz.

- Nie.

- Dlaczego mnie nie słuchasz? Odgryzłam kawałek chleba.

- Bo jesteś jak buldożer, który niszczy wszystko na swojej drodze. Mój smutek... No powiedz, jak na ciebie działa mój smutek? Przeszkadza ci, a wkrótce zaczniesz drażnić, dobrze to wiem. A poza tym te historie z więzami krwi... To bzdura! Byłeś jak kaleka, niezdolny wziąć swoje dzieci w ramiona i chociaż raz im powiedzieć, że je kochasz, natomiast zawsze bierzesz je w obronę. Cokolwiek powiedzą, cokolwiek zrobią, zawsze mają rację, w przeciwieństwie do barbarzyńców, takich jak my. My, którzy nie nosimy od urodzenia tego samego nazwiska co wy.

Można powiedzieć, że twoje dzieci nie dały ci wielu powodów do zadowolenia, ale tylko tobie wolno je krytykować. Tylko tobie! Adrien ulotnił się, zostawiając mnie samą z dziewczynkami. Powiedzmy, że ciebie to również dotknęło, zgoda, ale żebyś choć raz powiedział parę ostrych słów... Parę ostrych słów... To i tak niczego nie zmieni, ale sprawiłoby mi przyjemność. Nawet nie wiesz, jaką przyjemność... Tak, wiem, że to żalosne... Ja sama jestem żalosna. Ale kilka wypowiedzianych ze zrozumieniem słów, kilka chłuszczących słów, które zwykle tak łatwo formułujesz... Dlaczego nie wobec niego? W końcu coś mi się należy. Oczekuję słów potępienia z ust patriarchy zajmującego główne miejsce przy stole. Od lat słucham, jak dzielisz ludzi na dobrych i złych, na tych, którzy zasługują na twój szacunek, i na tych, którzy nań nie zasługują. Od tylu lat nie mogę się przebić przez mur twoich kazań, twojego autorytetu, twojej nieomyślności, twoich władczych min, twojego milczenia... A to wszystko lipa. Wszystko! Kiedy patrzysz na nas z góry, Pierre...

Widzisz, Pierre, ja jestem osobą prostolinijną i zależy mi, żeby usłyszeć z twoich ust: mój syn jest łajdakiem i proszę cię o przebaczenie. Bardzo mi zależy, rozumiesz?

- Nie licz na mnie.

Zebrałam nasze talerze.

- Nie liczyłam na ciebie.

- Zjesz deser?

- Nie.

- Na pewno już nic nie chcesz?

- A więc wszystko na nic... Widać pociągnąłem za niewłaściwą nitkę...

Przestałam go słuchać.

- Węzeł zacisnął się jeszcze mocniej, a my jeszcze bardziej oddaliliśmy się od siebie. A więc jestem starym draniem... Potworem... I czym jeszcze?

Szukałam gąbki.

- I czym jeszcze?!

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Posłuchaj, Pierre, przez lata żyłam z człowiekiem, który nie stał o własnych siłach, ponieważ ojciec nigdy go nie objął i nie przytulił. Adrien nigdy nie robił niczego dla siebie, ale dla ciebie. Żeby cię zadziwić albo wkurzyć. Sprowokować albo sprawić przyjemność. To było poruszające i niesamowite. Miałam wtedy dopiero dwadzieścia lat i zrezygnowałam ze wszystkiego dla niego. Wysłuchiwałam go, a kiedy się zwierzał, głaskałam go czule po karku. Nie żałuję niczego, zresztą nie potrafiłabym inaczej. Bolało mnie, a zarazem złościło, że taki chłopak jak on może się aż tak nie doceniać. Całymi nocami rozwiązywaliśmy i porządkowaliśmy jego zadawnione urazy. Potrząsałam nim. Powtarzałam tysiące razy, że historia jego życia nie jest aż tak skomplikowana. Że jest wręcz prosta! Wałkowaliśmy na wszystkie strony jakiś problem, a kiedy się z nim uporaliśmy, przechodziliśmy do następnego, i tak krok po kroku, aż wreszcie przerwałam studia, żeby on mógł podjąć swoje. Zakasałam rękawy i przez trzy lata wozłam go na uczelnię, a potem pędziłam do pracy w podziemiach Luwru. Zawarliśmy umowę: nie będę się skarżyła ani narzekała, pod warunkiem, że nie poruszymy więcej tematu stosunków między wami. To wystarczyło, żebyśmy odnieśli sukces. Nigdy nie wychwalałam Adriena, nie mówiłam, że jest najlepszy. Po prostu go kochałam. Ko-cha-łam. Rozumiesz, o czym mówię?

- Więc rozumiesz, że mogę być teraz na niego zła...

Wytarłam stół, omijając gąbką jego ręce.

- Odzyskał wiarę w siebie, syn nieudacznik zrzucił starą skórę. Pokierował swoimi sprawami jak dorosły człowiek, stał się kimś innym, a ojciec przygląda się temu rozanielonym wzrokiem, prawda?

- Nie masz nic do powiedzenia?

- Nie. Idę spać.

Włączyłam zmywarę.

- Skoro tak, to dobranoc.

Zagryzłam wargi.

Najgorsze zachowałam dla siebie.

Wzięłam kieliszek i usiadłam na kanapie. Zdjęłam pantofle i wsunęłam stopy pod poduszki. Wstałam po butelkę. Poruszyłam ogień, zgasiłam światło i umościłam się ponownie.

Żałowałam, że nie jestem jeszcze pijana. Żałowałam, że tutaj jestem. Żałowałam... Żałowałam tylu rzeczy. Tylu rzeczy...

Położyłam głowę na oparciu i zamknęłam oczy.

- Śpisz?

- Nie.

Nalał sobie wina i usiadł w fotelu obok.

Na dworze wciąż wiało. Siedzieliśmy w ciemności i patrzyli w ogień.

Od czasu do czasu podnosiliśmy kieliszki do ust.

Nie było nam ani dobrze, ani źle. Byliśmy zmęczeni.

Po długim czasie odezwał się:

- Nie byłbym taki, za jakiego mnie uważasz, gdybym miał więcej odwagi...

- Słucham?

Od razu pożałowałam, że podjęłam rozmowę. Już nie miałam ochoty babrać się w tym całym bagnie. Chciałam, żeby mnie zostawił w spokoju.

- Mówi się o żalu porzuconych, a czy pomyślałaś, co czują ci, którzy odchodzą?

O Boże, czy ten stary tępak znów będzie mi zawracać głowę swoimi teoriami? Spuściłam nogi z kanapy.

- Jutro o tym porozmawiamy, Pierre, teraz już... Mam tego dość.

- Ci, którzy przysparzają cierpienia, też cierpią. Porzuconych pociesza się, współczuje im, a o tych, którzy odchodzą, w ogóle się nie mówi.

- O co ci chodzi?! - uniosłam się. Nie odpowiedział na moje pytanie.

- Podziwiam tych, którzy mają odwagę spojrzeć w swoje odbicie w lustrze i powiedzieć głośno: „Mam prawo do błędu”. Tylko kilka słów, a ile trzeba mieć w sobie siły, żeby spojrzeć na własne życie z otwartą przyłbicą i zobaczyć je takim, jakie ono jest. Z czego to wynika, że jedni mają odwagę rozbić wszystko, zrujnować, a inni są tej odwagi pozbawieni. Z egoizmu? Co takim człowiekiem powoduje? Instynkt przetrwania? Trzeźwość myślenia? Strach przed przemijaniem? Mieć odwagę spojrzeć prawdzie w oczy, zmierzyć się z sobą. Stawić czoło sobie samemu. Właśnie sobie.

„Prawo do błędu” - kto ci je przyznał? Kto, poza tobą samym?

Pierre'owi drżały ręce.

- Ja nie dałem sobie żadnego przyzwolenia... Nie dałem sobie prawa do błędu. Liczyły się tylko obowiązki. I oto kim się stałem: starym draniem, i to w oczach jednej z nielicznych osób, które cenię. Poniosłem fiasko...

Miałem wielu wrogów. Nie chwalebę się ani nie skarżę, mam to gdzieś. Ale jakże niewielu przyjaciół, ludzi, na których mi zależało. Wśród nich jesteś ty, Chloé. Zazdroszczę ci umiejętności życia. Chwytasz je pełnymi garściami. Ty się nie poruszasz, ty tańczysz. Sprawiasz, że po burzy zawsze świeci słońce. Sprawiasz, że ludzie wokół ciebie stają się szczęśliwi. Czujesz się bardzo swobodnie na tej małej planecie...

- Mam wrażenie, że nie mówimy o tej samej osobie...

Nie słuchał mnie.

Siedział wyprostowany. Milczał zamyślony, z kieliszkiem w dłoni.

Nie rozróżniałam rysów jego twarzy. Jego twarz ginęła w cieniu fotela.

- Kochałem kobietę... Nie mówię o Suzanne, mówię o innej kobiecie.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Kochałem ją nad życie. Ponad wszystko... Nie wiedziałem, że można aż tak kochać... To znaczy, jeśli chodzi o mnie, uważałem, że nie zostałem... zaprogramowany, by kochać w taki sposób. Wyznania, nieprzespane noce, płomień namiętności - to wszystko przydarzało się innym, ale nie mnie. Zresztą już samo słowo „namiętność” przyprawiało mnie o szyderczy śmiech. Namiętność, namiętność! Sytuowałem ten stan gdzieś między hipnozą i praktykami magicznymi... W moich ustach to słowo brzmiało niemal obelżywie. I nagle spadło to na mnie, kiedy się tego najmniej spodziewałem... Ja... Pokochałem pewną kobietę.

Moja miłość była jak choroba. Nie chciałem jej, nie wierzyłem w nią, spadła na mnie wbrew mojej woli i nie mogłem się przed nią obronić, a potem...

Odchrząknął.

- A potem straciłem ją. Odeszła.

Siedziałam nieruchomo. Byłam oszołomiona.

- Nazywała się Matylda. Zresztą nadal nazywa się Matylda. Matylda Courbet. Jak słynny malarz...

Miałem czterdzieści dwa lata i uważałem się za starego człowieka. Zresztą zawsze uważałem, że jestem stary. To Paul był młody. Paul zawsze będzie młody i piękny.

Ja to ja. Pierre. Dochodzący do wszystkiego z trudem pracuś.

W wieku dziesięciu lat wyglądałem tak jak teraz. Taka sama fryzura, takie same okulary, takie same ruchy i takie same drobne dziwactwa. Już chyba jako dziesięciolatek zmieniałem talerz przy serach...

Uśmiechnęłam się do niego w ciemności.

- Czterdzieści dwa lata... Czego można oczekiwać od życia, mając czterdzieści dwa lata?

Ja nie oczekiwałem niczego. Pracowałem od rana do wieczora. To był mój kamuflaż, mój pancerz, moje alibi. Moje alibi, żeby nie musieć naprawdę żyć. Bo też i nie przepadałem za życiem. Myślę, że zabrakło mi tej zdolności.

Wynajdywałem przeszkody, góry przeszkód do pokonania. Niebotyczne góry. Okropnie strome. Następnie zakasywałem rękawy. Pokonywałem wszystkie, po czym wynajdywałem nowe. Zresztą wcale nie byłem ambitny, brakowało mi wyobraźni.

Wypił łyk wina.

- Wyobraź sobie, że nie zdawałem sobie z tego sprawy... Dopiero Matylda mi to uświadomiła. Och, Chloé... Jak ja ją kochałem... Jak ja ją kochałem... Jesteś tu jeszcze?

- Tak.

- Słuchasz mnie?

- Tak.

- Nudzę cię?

- Nie.

- Nie idziesz spać?

- Nie.

Wstał i dołożył drewna do ognia. Pozostał tam, siedząc w kucki przed kominkiem.

- Wiesz, co mi zarzucała? Zarzucała mi, że jestem zbyt gadatliwy. Masz pojęcie? Ja zbyt gadatliwy! Aż trudno uwierzyć, prawda? A swoją drogą tak było... Kładłem głowę na jej brzuchu i mówiłem. Mówiłem godzinami. Nawet całymi dniami. Słyszałem dźwięk własnego głosu, który w zetknięciu z jej ciałem stawał się taki poważny i uroczysty, i to mi się podobało. Gadałem jak katarzynka... Zalewałem ją potokiem słów. Śmiała się. Mówiła: „Pst, nie mów tyle, przestaję słyszeć, co mówisz. Dlaczego tyle mówisz?”.

Miałem do odrobienia czterdzieści dwa lata milczenia. Czterdzieści dwa lata trzymania wszystkiego w sobie. Coś ty niedawno mówiła? Że moja małomówność graniczy z pogardą, czy tak? To przykre, choć mogę zrozumieć stawiane mi zarzuty. Mogę zrozumieć, ale nie zamierzam się bronić. Zresztą z tym też mam problem... Ale żeby gardził? Nie, nie sądzę. Powiedziałbym raczej, choć może ci się to wydać niewiarygodne, że moja małomówność bierze się z nieśmiałości. Nie kocham siebie na tyle, żeby przypisywać sobie jakiegokolwiek znaczenie i wywyższać się. Zastanów się dwa razy, zanim coś powiesz, mówi przysłowie. Otóż ja zastanawiam się trzy razy. Onieśmielałem innych... Nie kochałem siebie przed Matyldą, a po niej prawie przestałem się lubić. Sądzę, że właśnie z tego powodu bywam przykry...

Usiadł z powrotem.

- Jestem trudny w pracy, ale to co innego, tam gram pewną rolę, rozumiesz? Muszę być twardy. Muszę trzymać swoich pracowników w przeświadczeniu, że mają do czynienia z prawdziwym tyranem. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby mnie przejrzeni? Gdyby wyszło na jaw, że wkładam trzy razy więcej wysiłku niż inni, żeby osiągnąć jakiś rezultat? Że mam złą pamięć? Że nie chwytam w lot? Wyobrażasz sobie? Gdyby to odkryli, pożarliby mnie żywcem!

Zresztą ja nie daję się lubić... Nie mam charyzmy, jak to się mówi. Nawet gdy zapowiadam podwyżkę płac, przybieram szorstki ton głosu, kiedy mi dziękują, nie odpowiadam, kiedy chcę wykonać miły gest, powstrzymuję się, a kiedy mam do zakomunikowania dobrą wiadomość, powierzam to zadanie Françoise. W zarządzaniu i w kontaktach międzyludzkich, jak się dzisiaj mówi, jestem beznadziejny. Naprawdę beznadziejny.

Nie zważając na mój sprzeciw, Françoise zapisała mnie nawet na coś w rodzaju kursu dla nieelastycznych szefów. Bzdury... Uwięzieni przez dwa dni w sali budynku Concorde La Fayette przy porte Maillot, faszzerowani demagogiczną papką przez psychologa i jakiegoś Amerykanina. Na zakończenie sprzedawał swoją książkę *Be the Best and Work in Love*. Boże, co to za bełkot...

Pamiętam, że na koniec rozdano nam dyplomy miłego, wyrozumiałego szefa. Dałem swój w prezencie Françoise, która przypięła go pinezkami na drzwiczkach szafki, w której przechowuje się proszki, mydło i papier toaletowy.

- No i co, czy to nie było pożyteczne? - zapytała.

- To było żalotne.

Uśmiechnęła się.

- Słuchaj, Françoise - dodałem - jesteś tutaj na podobieństwo Pana Boga, więc powiedz wszystkim, których to interesuje, że choć nie jestem miły, mogą być spokojni o swoje posady, ponieważ jestem dobry w rachunku pamięciowym.

- Amen - wyszeptała i pochyliła głowę.

Ale to prawda. Podczas mojej trwającej dwadzieścia pięć lat tyranii nie było ani jednego strajku, nikogo też nigdy nie zwolniłem. Nawet w tak trudnym okresie, jakim był początek lat dziewięćdziesiątych. Nikogo, rozumiesz?

- A Suzanne?

- Dlaczego jesteś dla niej taki przykry?

- Tak uważasz?

- Tak.

Znów położył głowę na oparciu fotela.

- Kiedy do Suzanne dotarło, że ją zdradzam, nie zdradzałem jej już od dłuższego czasu. Wtedy... Ale o tym opowiem później... Mieszkaliśmy przy ulicy Convention. Nie lubiłem tego mieszkania. Nie podobał mi się sposób, w jaki je urządziła. Za dużo mebli, za dużo bibelotów, za dużo naszych fotografii, za dużo wszystkiego. Mówię ci to, choć to nic ciekawego... Przychodziłem tam tylko na noc, a także dlatego, że mieszkała tam moja rodzina. Koniec, kropka. Pewnego wieczoru poprosiła, żebym ją zabrał na kolację. Poszliśmy do podrzędnej pizzerii blisko domu. W neonowym świetle wyglądała okropnie. Do tego przybrała obrażoną minę. To było okrutne, ale nie zrobiłem tego celowo. Otworzyłem drzwi pierwszej z brzegu garkuchni... Przeczuwałem, co mnie czeka, i nie miałem ochoty oddalać się od mojego łóżka. I rzeczywiście, nie trzeba było długo czekać. Ledwie odłożyła kartę, wybuchnęła płaczem.

Wiedziała o wszystkim. Że ta kobieta jest młodsza. Wiedziała, od kiedy to trwa, zrozumiała teraz, dlaczego tak często wyjeżdżam. Ale dłużej już tego nie zniesie. Okazałem się potworem. Czym zasłużyła na takie lekceważenie? Jak mogłem ją tak potraktować? Czyżbym ją miał za jakiegoś kocmołucha? Na początku przymykała na to oczy. Domyślała się czegoś, ale miała do mnie zaufanie. Sądziła, że to minie, że to chwilowe zauroczenie, uderzenie krwi do głowy, chęć podobań się jeszcze. Potrzeba potwierdzenia męskości. A zresztą miałem pracę, tak absorbującą i odpowiedzialną. A ona, ona była pochłonięta urządzeniem nowego domu. Nie mogła być wszędzie naraz. No i ufała mi. Więc gdy nasza mnie ta choroba, przymknęła oczy. Ale teraz miarka się przebrała! Dłużej tego nie zniesie. Mojego egoizmu, mojej pogardy, sposobu, w jaki... W tym momencie podszedł kelner, a ona, jak gdyby nigdy nic, w ciągu ułamka sekundy zmieniła wyraz twarzy. Uśmiechając się do niego, kazała sobie opisać dokładnie farsz do tortellini. Byłem zafascynowany. Gdy zwrócił się do mnie, wybełkotałem tylko: „T-o samo co pani”. Nawet przez chwilę nie pomyślałem o karcie. Możesz mi wierzyć. Nawet przez chwilę...

To wtedy przekonałem się o sile i możliwościach Suzanne. Nie znałem jej takiej. Ona jest jak walec drogowy. Wówczas też przekonałem się, że może być twarda jak skała. A *de facto* wszystko sprowadzało się do czegoś tak banalnego, jak kwestia zagospodarowania czasu. Dopadła mnie, ponieważ prace przy jej domu nad morzem dobiegły końca. Po zawieszeniu ostatniej ramki, po założeniu ostatniego karnisza mogła wreszcie zainteresować się moją osobą, i była oburzona tym, co odkryła. Siedziałem i prawie się nie odzywałem, a jeśli się broniłem, to bez większego przekonania, bo, jak ci napomknąłem, w tym czasie straciłem już Matyldę...

Patrzyłem na poruszające się usta mojej żony i nie słuchałem jej, tak jakbym wyłączył dźwięk w telewizorze.

Gestykulowała i zalewała się łzami, pociągała nosem i jednocześnie wycierała chlebem sos z talerza. Ja wciąż nawijałem na widelec dwie albo trzy nitki spaghetti, ale ani razu nie podniosłem go do ust. Mnie też chciało się płakać, nawet bardzo, ale się powstrzymałem...

- Dlaczego?

- Kwestia wychowania, jak sędzę... A poza tym czułem się jeszcze rozbity. Wolałem nie ryzykować i nie dać się ponieść. Nie tam. Nie w tej chwili. Nie przy niej. Nie w tej ponurej budzie. Jeszcze się... jakby to powiedzieć... nie pozbierałem.

Powiedziała, że była u adwokata w sprawie rozwodu. Nagle zacząłem słuchać uważniej. Adwokat? Suzanne żąda rozwodu? Nie przypuszczałem, że sprawy zaszły tak daleko, że poczuła się aż tak zraniona... Znała z widzenia tę kobietę, szwagierkę jednej ze swoich przyjaciółek. Długo się wahała, ale wracając z weekendu do domu, podjęła decyzję. Podjęła ją w samochodzie, w drodze powrotnej, gdy nie odzywałem się do niej. To było coś w rodzaju małżeńskiej rosyjskiej ruletki: jeżeli Pierre odezwie się do mnie, zostanę, jeżeli nie, rozwiodę się.

Byłem wzburzony. Nie wiedziałem, że potrafi tak postępować.

Odzyskała kolory, a kiedy na mnie patrzyła, było wyraźnie widać, że nabrała pewności siebie. Oczywiście, wypomniała mi wszystko. Za długie i zbyt częste podróże, brak zainteresowania rodziną, że traktuję dzieci jak powietrze, że ani razu nie podpisałem ich dzienników ze stopniami, stracone lata, kiedy wszystko kręciło się wokół mojej osoby. Dla mojego dobra, dla firmy.

Firmy, która, nawiasem mówiąc, należała do jej rodziny, a więc do niej. Mówiła też o swoim poświęceniu, gdy do samego końca opiekowała się moją nieszczęsną matką. Sporządziła zestawienie krzywd i strat. Teraz przedstawiła go mnie i to samo zamierza powiedzieć adwokatowi.

Wreszcie podniosłem głowę. Poczulem grunt pod nogami. Czego chce? Pieniądzy? Ile? Wyjąłem książeczkę czekową. Ale nie, skądże znowu, nie pozwoli mi się wykpić tak łatwo... Naprawdę jestem żalony... Między jednym a drugim kęsem tiramisu znowu zaczęła szlochać. Dlaczego ja nic nie rozumiem? Nie wszystko da się przeliczyć na pieniądze. Pewnych rzeczy się nie odkupi. Czy ja naprawdę nic nie rozumiem, czy tylko udaję? Gdzie ja mam serce? Jakie to wszystko żalonne. Bardzo żalonne...

- Ale dlaczego nie chcesz rozwodu? - wyrzuciłem wreszcie z siebie zirytowany. - Całą winę biorę na siebie. Całą, słyszysz? Podpiszę wszystko, co zechcesz, tylko daj spokój z adwokatami, bardzo cię proszę. Powiedz, ile chcesz.

Dotknąłem ją tym do żywego.

Podniosła głowę i popatrzyła mi w oczy. Po raz pierwszy od dawna patrzyliśmy na siebie tak długo. Próbowałem coś odszukać w jej twarzy. Może naszą młodość... Czasy, kiedy nie płakała przeze mnie. Kiedy żadna kobieta przeze mnie nie płakała. Wtedy myśl o paplaniu przy stole o uczuciach wydawała mi się niepojęta. Ale niczego takiego nie odnalazłem. Suzanne miała smutną minę przegranej małżonki. Nie poszła ponownie do adwokata, bo zabrakło jej odwagi. Powiedziała, że lubi swoje życie, swój dom, swoich stałych sklepikarzy, kocha dzieci... Musi przyznać, że po prostu nie ma odwagi odejść ode mnie. Nie ma odwagi.

Skoro mnie to bawi, mogę sobie podrywać inne kobiety, mogę je przelatywać, widać potrzebuję tego dla potwierdzenia swojej męskości, ale ona, ona nie odejdzie. Nie chce stracić tego, co zdobyła: pozycji społecznej, naszych wspólnych przyjaciół i znajomych. No i ten uroczy dom nad morzem, w którym nie przespaliśmy jeszcze ani jednej nocy... Nie będzie ryzykować. W końcu, co jej to szkodzi? Jak świat światem mężczyźni zdradzają kobiety... Teraz, kiedy już powiedziała wszystko, czuje się rozczarowana banalnością przyczyny rozpadu naszego małżeństwa. Tak, właśnie tak. Ale to wszystko wina tego, co zwisa mężczyznom między nogami. Trzeba się uzbroić w cierpliwość i przetrwać burzę. Prawda, poczyniła pierwsze kroki, ale gdy pomyślała, że miałyby przestać być panią Dippel, straciła impet. Taka jest prawda, i tym gorzej dla niej. Sama - bez dzieci, beze mnie - niewiele znaczy.

Podąłem jej chusteczkę.

- W końcu nic się takiego nie stało - dodała, siląc się na uśmiech. - Zostanę z tobą, bo nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Okazuje się, że i ja mogę nie być na coś przygotowana. Ja, która zawsze wszystko przewiduję, tym razem... Można powiedzieć, dałam się zaskoczyć. - Uśmiechnęła się przez łzy.

Poklepałem ją po rękę. To był koniec. Koło się zamknęło. Byłem sam. To znaczy nie byłem z nikim innym. To był koniec. Koniec...

Piliśmy kawę, komentując niegustowne wnętrza pizzerii i wasy właściciela.

Dwoje starych, pokrytych bliznami przyjaciół.

Właśnie podnieśliśmy potężny kamień i natychmiast położyliśmy go z powrotem.

Pod nim było za dużo paskudnego robactwa.

Tego wieczoru, w ciemności, najniewinniej w świecie wziąłem Suzanne w ramiona. Na nic więcej nie było mnie stać.

Była to dla mnie nowa bezsenna noc. Jej wyznania, zamiast uspokoić kompletnie wytrąciły mnie z równowagi. Muszę przyznać, że czułem się wtedy marnie. Bardzo marnie. Wszystko mnie bolało, byłem jak zbity pies. Naprawdę moja sytuacja była godna pożałowania: straciłem tę, którą kochałem, a jednocześnie dotarło do mnie, że zraniłem także tę drugą. Niezły bilans... Straciłem

miłość mojego życia, żeby zostać z kobietą, która mnie nie opuści, ponieważ przywykła do swojego mleczarza i rzeźnika. Sytuacja bez wyjścia. Ani Matylda, ani Suzanne nie zasłużyły na to. Wszystko popsułem. Nigdy jeszcze nie czułem się tak podle...

Lekarstwo nic by tu nie pomogło, to pewne, ale gdybym miał więcej odwagi, powiesiłbym się tamtej nocy.

Odchylił do tyłu głowę, żeby dopić wino.

- Ale Suzanne nie czuje się nieszczęśliwa przy tobie...

- Tak sądzisz? Skąd możesz wiedzieć? Powiedziała ci, że jest szczęśliwa?

- Nie. Nie wprost. Tego nie powiedziała, ale dała mi do zrozumienia... Bądź co bądź, ona nie należy do kobiet, które choć przez chwilę zastanawiają się nad tym, czy są szczęśliwe, czy nie...

- Nie, w rzeczy samej, to nie ten typ kobiety... Na tym zresztą polega jej siła. Ale z drugiej strony, to, że byłem nieszczęśliwy tamtej nocy, to głównie z jej powodu. Zobaczyłem, co się z niej zrobiło... Konwencjonalna pańcia... Gdybyś wiedziała, jaka to była świetna dziewczyna, kiedy ją spotkałem... Nie mam powodu do dumy, nie, naprawdę nie mam powodu do dumy. Stłamsiłem ją. Zgasiłem. Traktowałem jak kogoś, kto po prostu jest. Pod ręką. Pod telefonem. Z dziećmi. W kuchni. Rodzaj westalki, która wydaje zarobione przeze mnie pieniądze i kręci naszym małym światkiem, dba o wygody domowników i nigdy nie narzeka. Widziałem tylko czubek własnego nosa.

Jaką z jej tajemnic próbowałem przeniknąć? Żadną. Czy kiedykolwiek pytałem ją o nią samą? O jej tęsknoty i żale, o nasze pożycie, o to, czy jest zmęczona, o jej niespełnione nadzieje, marzenia? Nie. Nigdy. To mnie nie interesowało.

- Nie obwiniaj się o wszystko, Pierre. Małżeństwo to pożycie dwojga ludzi. Samobiczowanie ma swoje uroki, ale mimo wszystko... Co jak co, ale ty nie masz zadatków na świętego Sebastiana...

- Dobra, dobra. Uwielbiam twoje szyderstwo. Jesteś w tym najlepsza, więc kpj sobie w najlepsze! Dlatego martwię się, że cię stracę. Kto mnie będzie atakować, jeśli odejdziesz?

- Możemy od czasu do czasu zjeść razem lunch.

- Obiecujesz?

- Tak.

- Teraz obiecujesz, a później się wykręcisz. Jestem tego pewny!

- Uczynimy z tego swoisty rytuał. Niech to będzie na przykład pierwszy piątek każdego miesiąca...

- Dlaczego piątek?

- Bo lubię dobrą rybę! Będziesz mnie zabierać do najlepszych restauracji, prawda?

- Do najlepszych!
- Strasznie się cieszę... Ale to jeszcze nieprędko nastąpi...
- Nieprędko?
- Nie.
- Kiedy?
- Dobrze. Uzbiorę się w cierpliwość.

Poruszyłam polano w kominku.

- Wracając do Suzanne... Może i jest pańcią, jak ją nazywałeś, ale ty nie masz z tym nic wspólnego, na szczęście. A swoją drogą nie musi mieć na wszystko twojego pozwolenia. To mi przypomina te produkty angielskie, które pyszną się etykietką „by appointment to Her Majesty”. Suzanne jest taka, jaka jest, i nie musi zabiegać o twój „appointment”. Jesteś trochę upierdliwy, ale nie wszechwładny. To, że stała się damulką, że biega na wyprzedzie i namiętnie zbiera przepisy kulinarne, to jej sprawa, i naprawdę nie musi cię pytać o zdanie, jeśli ma ochotę stroić się w taką, a nie inną szatę. Taką ją Bozia stworzyła. Ma to we krwi. Ja odkurzam, ja komentuję, ja osądzam i ja wybaczam. To strasznie wyczerpujące, w każdym razie mnie to męczy, ale to jest druga strona medalu, bo przyznasz, że Bozia nie poskapiła jej też wielu zalet, prawda?

- Tak. Bóg wie, co robi... Napijesz się czegoś?
- Nie, dziękuję.
- Może herbaty ziołowej?
- Nie, nie. Wolę się wolniutko upić.
- Dobrze... cóż, wobec tego zostawiam cię w spokoju.
- Pierre?
- Tak.
- Nie mogę się nadziwić.
- Czemu?
- Temu wszystkiemu, co mi opowiedziałeś.
- Ja też.
- A Adrien?
- Co Adrien?
- Powiesz mu?
- Co mam mu powiedzieć?
- No wiesz... To wszystko...
- Musisz wiedzieć, że Adrien przyszedł się ze mną zobaczyć.
- Kiedy?

- W zeszłym tygodniu, ale... nie rozmawiałem z nim. To znaczy nie rozmawiałem z nim, ale go wysłuchałem...

- Co ci powiedział?

- To, co ci powiedziałem, a o czym już wcześniej wiedziałem... Że jest nieszczęśliwy, że się pogubił...

- Przyszedł ci się zwierzyć?

- Tak.

Rozplakałam się.

- Tak cię to dziwi?

Potrząsnęłam głową.

- Czuję się zdradzona. Nawet ty. Nienawidzę tego. Tak się nie robi, ja bym tak nigdy...

- Uspokój się. Wszystko ci się miesza. Kto mówi o zdradzie. W czym dopatrujesz się zdrady? Przyszedł niezapowiedziany, a kiedy go zobaczyłem, zaproponowałem, żebyśmy wyszli. Wyłączyłem laptopa i zjechaliśmy na parking. Kiedy uruchamiałem stacyjkę, powiedział: „Chcę odejść od Chloé”. Zaniemówiłem. Nie chciałem go o nic pytać, czekałem, aż sam zacznie. Wciąż ten sam problem nierozsupłanego kłębaka... Nie ponaglałem. Nie wiedziałem, co robić. Byłem poruszony tym, co mi powiedział. Sięgnąłem po papierosy i otworzyłem popielniczkę.

- I co?

- Nic. Jest żonaty. Ma dwoje dzieci. Przemyślał to. Uważa, że może warto...

- Milcz, milcz... Już wiem, co powiesz. Podniosłam się i oderwałam kawałek papierowego ręcznika kuchennego z rolki.

- Jesteś z niego dumny, może nie? Uważasz, że dobrze postępuje, prawda? Jak prawdziwy mężczyzna! Odważny facet. Wspaniała rekompensata za twoje lęki i zahamowania. Otrzymałeś w prezencie wspaniały podarunek...

- Nie mów tak.

- Mówię, jak mi się podoba, i powiem ci, co o tobie myślę... Jesteś gorszy od swojego syna. Zmarnowałeś swoje życie. Tak, pyszniłeś się i robiłeś ważne miny, a wszystko na marne. Teraz posługujesz się Adrienem, jego sprawami łóżkowymi, żeby się pocieszyć. Jakie to żalosne. Czuję obrzydzenie do was obu.

- Głupstwa mówisz. Sama wiesz najlepiej, może nie? Pleciesz, co ci ślina na język przyniesie.

Mówił bardzo spokojnie.

- Gdyby chodziło tylko o, jak mówisz, sprawy łóżkowe, nie byłoby nas teraz tutaj, dobrze o tym wiesz...

- Chloé, powiedz coś.

- Jestem skończoną idiotką. Nie. Przynajmniej raz nie zaprzeczaj. Nie zaprzeczaj, wyświadczyć mi tę przysługę.

- Czy mogę ci coś wyznać? To będzie bardzo trudne wyznanie...

- Wał śmiało, mnie już nic nie zdziwi...

- Sądzę, że dobrze się stało.

- O czym ty mówisz?

- O tym, co cię spotkało...

- Że jestem skończoną idiotką?

- Nie, że Adrien od ciebie odszedł. Uważam, że jesteś warta czegoś więcej... Więcej niż wymuszona wesoła paplanina... Więcej niż zadbane paznokcie i pilnowanie kalendarza wizyt, więcej niż towarzystwo kumoszek na skwerze Firmin-Gédon, więcej niż to, czym staliście się oboje. To szokujące, co teraz mówię, prawda? Zapytasz, jakim prawem się wtrącam. Powiem ci. To będzie szokujące, ale trudno. Nie zamierzam niczego tajić, za bardzo cię lubię. Otóż uważam, że Adrien nie dorósł do ciebie. Trochę się przy tobie podciągnął, ale nadal nie dorasta ci do pięt. Wiem, jest moim synem i nie powinienem mówić o nim w ten sposób, ale jako stary drań gwizdzę na konwenanse. Mówię ci to dlatego, że ci ufam... Ty... Nie byłaś kochana jak należy i jak na to zasługujesz. Gdyby i ciebie stać było teraz na szczerłość, właśnie teraz, w tej jednej jedynej chwili twojego życia, zachnęłabyś się oczywiście, ale przyznałabyś mi rację...

- Sam nie wiesz, co mówisz.

- No proszę. Zachnęłaś się...

- Przeszedłeś kurs psychoanalizy?

- Czy nigdy ci się nie zdarzyło usłyszeć cichutkiego wewnętrznego głosu, który szeptał, że nie jesteś kochana jak należy, jak na to zasługujesz?

- Nie.

- Nie?

- Nie.

- No cóż. Widać się mylę... Podsunał się bliżej.

- Co do mnie, uważam, że powinnaś wypłynąć na powierzchnię.

- Skąd?

- Z trzeciego poziomu podziemi Luwru.

- Czy ty zawsze i na wszystko masz receptę?

- Nie. Nie na wszystko. Ale czy musisz tkwić w podziemiach muzeum, skoro stać cię na więcej? Marnujesz się. Co ty tam robisz? Kopie? Odlewy? Sklejasz skorupy? Nadzwyczajne!

Długo jeszcze zamierzasz tam tkwić? Do emerytury? Tylko mi nie mów, że jesteś szczęśliwa w tej norze...

- Nie, nie - ironizowałam - zapewniam cię, że tego nie powiem.

- Gdybym był twoim wielbicielem, wyciągnąłbym cię na światło dzienne, żebyś zabłysnęła. Masz talent w rękach i dobrze o tym wiesz. Zrób z tym coś. Masz niejedną dłoń. Wykorzystaj to. Nie marnuj tego. To zobowiązuje. Gdyby to ode mnie zależało... Mówię ci: teraz kolej na ciebie. Pokaż, co potrafisz, Chloé. Pokaż swoje możliwości, pokaż, co w tobie drzemie.

- A jeśli nie?

- Przynajmniej się przekonamy. I przestań przygryzać wargę, bo mi się robi słabo.

- Jak to jest, że tak świetnie doradzasz innym, a sobie nie potrafisz?

- Już odpowiedziałem na to pytanie.

- Co się stało?

- Zdawało mi się, że Marion płacze...

- Nie sły...

- Pst...

- W porządku, już zasnęła.

Uspokoiliłam się i przestałam nasłuchiwać. Otuliłam ramiona narzutą.

- Chcesz, żebym poszedł sprawdzić?

- Nie, nie. Poczekajmy chwilę.

- A czegoż to mam się spodziewać, panie Wszechwiedzący?

- Żeby cię traktowano tak, jak na to zasługujesz.

- To znaczy?

- Jak królową. Jak nowoczesną królową.

- Pff... Sam nie wiesz, co mówisz.

- Tak, gotów jestem mówić byle co. Byle co, dopóki się nie uśmiechniesz... Uśmiechnij się do mnie, Chloé.

- Oszalałeś! Wstał.

- Ach... Świetnie! Wolę już to. Zaczynasz mówić bardziej do rzeczy... Tak oszalałem, a wiesz, co ci jeszcze powiem? Oszalałem i jestem głodny. Co mógłbym zjeść na deser?

- Zajrzyj do lodówki. Trzeba skończyć jogurty dziewczynek.

- Gdzie są?

- Na samym dole.

- To coś różowego?

- Tak.

- Hmm... Całkiem niezłe. Obliział łyżeczkę.

- Wiesz, jak to się nazywa?

- Nie.

- To zobacz, nazwa w sam raz dla ciebie.

- „Spryciarze”... Dobrze, co?

- Nie sądzisz, że powinniśmy pójść spać?

- Tak.

- Jesteś śpiąca?

Zmartwiłam się.

- Po tym wszystkim, o czym rozmawialiśmy?! Czuję się, jakbym przerzuciła tonę węgla...

- Ja rozplątnę mój motek, ty przerzucasz węgiel. Ładny obrazek...

- Ty chodząca mądrość i ja kura domowa.

- Kura domowa! Tylko nie to. Moja królewna! Ale kura domowa?... Ojej! Ileś ty dzisiaj głupot nagadała!

- Potrafisz być przykry, nie?

- Nawet bardzo.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może dlatego, że mówię, co myślę. To nieczęsto się zdarza... Już się nie boję, że nie będę kochany... czy choćby lubiany...

- Przeze mnie też?

- Och, ty mnie lubisz, o to się nie martwię.

- Pierre?

- Tak?

- Co to było z Matyldą?

Spojrzał na mnie. Otworzył usta i zamknął je. Założył nogę na nogę, wrócił do poprzedniej pozycji. Podniósł się. Poruszał pogrzebaczem w kominku i rozrzucił żar. Opuścił głowę i powiedział półgłosem:

- Nic. Nic nie było. Albo bardzo niewiele. Tak mało dni, tak mało godzin... W rzeczywistości prawie nic.

- Nie chcesz o tym mówić?

- Nie wiem.

- Nigdy jej więcej nie spotkałeś?

- Tak. Jeden raz. Kilka lat temu. W ogrodach Palais-Royal...

- I co?

- I nic.

- Jak ją poznałeś?

- Wiesz co... Jeżeli zacznę opowiadać, nie wiem, kiedy skończę...

- Powiedziałaś ci, że nie chce mi się spać.

Patrzył w zamyśleniu na rysunek Paula. Milczał dłuższą chwilę.

- Kiedy to było?

- To było... Pierwszy raz zobaczyłem ją ósmego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego około jedenastej rano czasu miejscowego w Hongkongu. Spotkaliśmy się na dwudziestym dziewiątym piętrze wieżowca Hyatt w biurze niejakiego Singa, który prowadził swoje interesy gdzieś na Tajwanie. Uśmiechasz się?

- Tak, z powodu twojej precyzji. Pracowała razem z tobą?

- Była tłumaczką.

- Z chińskiego?

- Nie, z angielskiego.

- Chyba znasz angielski?

- Nie za dobrze. Nie na tyle, żeby pertraktować w tak ważnej sprawie. Zbyt wiele w tym niuansów i subtelności. Na tym poziomie to już nie jest język, ale prestidigitatorstwo, żonglowanie słowami. Umykają ci podteksty i szybko tracisz wątek. Zresztą nie znałem angielskich terminów, by zrozumieć techniczny żargon, którym musieliśmy się posługiwać tego dnia. W dodatku pan Sing wymawiał je z chińskim akcentem. Odnosiłem wrażenie, jakby każde zdanie kończył dźwięcznym „ting, ting” albo połykał całe słowa.

- A więc?

- A więc byłem zbity z tropu. Spodziewałem się Anglika, starszego pana, licencjonowanego tłumacza, do którego Françoise mizdrzyła się przez telefon i którego określiła mianem „prawdziwego dżentelmena”. Akurat! Ale sytuacja! Byłem napięty, niewyspany z powodu różnicy czasu, pół doby to dużo, zdenerwowany i roztrzęsiony jak galareta, a na horyzoncie ani śladu Brytyjczyka. Chodziło o naprawdę dużą transakcję, która, gdyby doszła do skutku, urządziłaby mnie co najmniej na dwa lata. Nie wiem, czy w ogóle możesz to sobie wyobrazić...

- A co konkretnie sprzedawałeś?

- Kadzie.

- Kadzie?

- Tak, ale zaraz, zaraz... To nie były zwyczajne kadzie, tylko...

- Dobrze, dobrze, i tak się na tym nie znam! Mów dalej!

- A więc, jak powiedziałem, byłem u kresu wytrzymałości. Od miesiący pracowałem nad tym projektem, zainwestowałem w to masę pieniędzy. Zadłużyłem firmę, wpakowałem w to wszystkie oszczędności. Mógłbym odwlec zamknięcie fabryki pod Nancy i uratować osiemnastu ludzi przed bezrobociem. Na karku siedzieli mi bracia Suzanne i wiedziałem, że przy pierwszym potknięciu te darmozjady nie zostawią na mnie suchej nitki. Ponadto miałem silną biegunkę. Wybacz, że jestem taki prozaiczny, ale ja... Krótko mówiąc, wszedłem do gabinetu pana Singa tak, jakbym wstępował w szranki, a kiedy dotarło do mnie, że moje życie znajduje się w rękach tej... tej... tej istoty, omal nie zemdląłem.

- Ale dlaczego?

- Bo widzisz, świat ropy naftowej to prawdziwy świat macho. Teraz to się zmieniło, ale wówczas nie spotykało się w nim wielu kobiet...

- Ty także...

- Co ja?

- Ty też jesteś trochę macho... Nie powiedział „nie”.

- Zaczekaj, postaw się choć na chwilę w mojej sytuacji! Spodziewałem się uścisnąć dłoń starszego flegmatycznego Anglika, faceta znającego na wylot zwyczaje panujące w koloniach, faceta z wąsikami i w wygniecionym garniturze, a tu raptem witam jakąś młodkę i wpatruję się w jej dekolt... O nie, zapewniam cię, że tego już było dla mnie za wiele. To przerosło moje siły... Ziemia usunęła mi się spod nóg. Wyjaśniła, że mister Magoo zachorował, że zatelegrafowano po nią w ostatniej chwili, i mocno uścisnęła moją rękę dla dodania mi odwagi. Właściwie, o czym powiedziała mi później, potrząsała mną jak jabłónką, ponieważ zauważyła moją bladość.

- On naprawdę nazywał się mister Magoo?

- Nie. Wymyśliłem to naprędce.

- A co potem?

- Potem szepnąłem jej do ucha: „Ale chyba wie pani, o co chodzi... Mam na myśli podstawowe informacje i dane, a także meritum sprawy... Jest dość specyficzna... Nie wiem, czy panią o tym uprzedzono...”. Ona tylko się uśmiechnęła. Cudownym uśmiechem, który znaczył mniej więcej: „Dobra, dobra... Nie mąć mi w głowie, człowieku”.

Byłem załwatwiony.

Pochyliłem się ku jej ślicznej szyi. Ładnie pachniała. Cudownie pachniała... Miałem mętlik w głowie. Usiadła naprzeciwko mnie, po prawej stronie rozplywającego się w uśmiechach Chińczyka, który, delikatnie mówiąc, wkurzał mnie. Oparła brodę na złączonych palcach dłoni i patrzyła na mnie krzepiącym wzrokiem. Byłem nią zupełnie zauroczony, choć wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zaparło mi dech w piersiach z wrażenia. Skrzyżowałem ręce na

brzuchu, żeby podtrzymać i uspokoić rozdygotane flaki, i modliłem się w duchu. Byłem zdany na łaskę tej kobiety. Nie przeczuwałem, że wkrótce przeżyję z nią najpiękniejsze chwile mojego życia.

- Jak ty ładnie opowiadasz...

- Nabijasz się ze mnie.

- Ani trochę.

- Tak. Nabijasz się. Nic więcej ode mnie nie usłyszysz.

- Nie, proszę! Tylko nie to. Co było dalej?

- Zbiłaś mnie z pantałyku.

- Już nie pisnę ani słowa.

- Co było dalej?

- Co dalej?

- No tak, z tym Chińczykiem. Jak to się skończyło?

- Uśmiechasz się. Dlaczego się uśmiechasz? Opowiedz, proszę!

- Uśmiecham się, bo to było niesamowite... Bo ona była niesamowita... Bo sytuacja była niesamowita...

- No to opowiadaj, Pierre.

- No dobrze... Najpierw wyjęła z torby jakieś etui, małe plastikowe etui z imitacji krokodylej skóry. Zrobiła to z wielką powagą. Następnie włożyła na nos małe okulary w białej metalowej oprawce, które nadały jej twarzy surowy wyraz. Wyglądała w nich jak emerytowana nauczycielka. Od tej chwili już nie patrzyła na mnie tak jak przedtem. Spojrzała mi prosto w oczy i czekała, aż wyrecytuję wyuczoną lekcję. Ja mówiłem, ona tłumaczyła. Byłem zafascynowany, ponieważ zaczynała mówić, nim ja skończyłem zdanie. Nie wiem, jak tego dokonywała. Dla mnie to był nie lada wyczyn. Słuchała i mówiła prawie jednocześnie ze mną. To było niezwykle... Naprawdę... Najpierw mówiłem powoli, a potem coraz szybciej, jakbym ją popędzał. Nawet nie drgnęła jej powieka. Przeciwnie, bawiło ją, gdy kończyła zdanie przede mną. Już wtedy dała mi odczuć, jak łatwo mnie rozszyfrować... A potem wstała i podeszła do tablicy. Skorzystałem z okazji, żeby przyjrzeć się całej jej sylwetce. Było w niej coś niemodnego, anachronicznego. Miała na sobie spódnicę w szkocką kratę, sięgającą do kolan, ciemnozielony sweterek i... Dlaczego się śmiejesz?

- Bo użyłeś słowa sweterek. To mnie śmieszy.

- No wiesz? Nie widzę w tym nic śmiesznego! A niby jak miałbym powiedzieć?

- Nieważne, nieważne...

- Wariatka...

- Już dobrze, nie złość się.

- Miała niemodny stanik... Uwypuklał jej piersi i unosił je. Takie staniki widziałem u dziewcząt w czasach mojej młodości. Miała ładne piersi, nie za duże, lekko rozstawione, ostro zakończone... Następnie zafascynował mnie jej brzuch - zaokrąglony brzuszek jak u ptaka. Śliczny brzuszek, deformujący kratę spódnicy... Miałem ochotę położyć na nim rękę... Wyciągnąłem szyję, żeby dojrzeć jej nogi, zorientowałem się, że zamilkła. Była cała w pasach. Miała zaróżowione czoło, policzki i szyję. Wyglądała jak krewetka. Patrzyła na mnie spłoszonym wzrokiem.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Pan... Nie zrozumiał pan, co powiedział pan Sing?

- Nn...nie. Co takiego?

- Nie zrozumiał pan, czy nie dosłyszał?

- Ja... Nie wiem... Chyba nie dosłyszałem... Spuściła oczy. Wydawała się zbita z tropu. Wyobrażałem sobie najgorsze - katastrofę, gafę, jakąś wielką wpadkę... Zmarnowałem okazję. Ona tymczasem poprawiła swój kok.

- Co się dzieje? - zapytałem zaniepokojony. Chińczyk zaśmiał się, powiedział coś, czego nie rozumiałem. Zupełnie się pogubiłem. Przestałem cokolwiek rozumieć. Chyba wyszedłem na durnia!

- Co on mówi? Proszę tłumaczyć! - zażądałem. Wymamrotała coś pod nosem.

- Nic z tego, tak?

- Nie, nie, nie sądzę...

- Więc co?

- Pan Sing zastanawia się, czy omawianie z panem tak wielkiej transakcji nie mija się dzisiaj z celem...

- Dlaczego? Co mu się nie podoba? Zwróciłem się w jego stronę z uspokajającym uśmiechem. Bezmyślnie kiwnąłem głową, z miną pewnego siebie *french managera*. Swoją drogą musiałem być wtedy śmieszny... Pan Sing nie przestawał się śmiać... Taki był z siebie zadowolony, uśmiechał się tak szeroko, że jego oczy zamieniły się w szparki.

- Palnąłem jakieś głupstwo?

- Nie.

- A pani?

- Ja? Skądże znowu! Ograniczam się do wiernego tłumaczenia pańskich słów.

- Więc o co chodzi?

Poczułem, jak po plecach spływają mi strużki potu.

Ona była jakby trochę zdenerwowana.

- Pan Sing mówi, że pan nie koncentruje się na sprawie.

- Ależ tak, koncentruję się! Bardzo się koncentruję! *I am very concentrated!*

- *No, no* - wtrącił się Chińczyk, kręcąc głową.

- Pan Sing mówi, że pan się nie koncentruje, bo jest pan w trakcie zakochiwania się, a pan Sing nie chce załatwiać sprawy z Francuzem, który się właśnie zakochuje. Mówi, że to zbyt ryzykowne.

Teraz ja spašowialem.

- Nie, nie... *No, no!* Wszystko w porządku. *I am fine, I mean I am calm... I... I...*

A do niej:

- Niech mu pani powie, że to nieprawda. Że wszystko gra. Że ze mną jest wszystko w porządku. Proszę mu powiedzieć, że... *I am okay. Yes, yes, I'm okay.*

Zaniepokoiłem się.

Znowu miała na ustach ten swój uśmieszek, taki sam jak na początku spotkania.

- To nieprawda? Poczulem się zakłopotany.

- Nie, a właściwie tak, właściwie nie, a właściwie to w czym rzecz? No właśnie, w czym rzecz?... Ja... *There is NO problem, I am fine!*

- Podejrzewam, że nikt sobie nic nie robił z mojego gadania. Potężny Sing, jego akolici i ta panna.

Nawet nie próbowała dodać mi otuchy:

- To prawda czy nie?

Ale cwaniara. Znalazła sobie odpowiedni moment, żeby mnie przycisnąć do muru!

- Nieprawda - skłamałem.

- Och, to dobrze! Już się przestraszyłam... Cwaniara, pomyślałem ponownie. Znokautowała mnie.

- A potem?

- Potem wróciliśmy do pracy. Rozmowa potoczyła się na właściwy temat. Jak gdyby nigdy nic. Cały byłem mokry. Miałem wrażenie, że jestem naelektryzowany i czułem się nieswojo. Nie patrzyłem na nią. Nie chciałem na nią patrzeć. Jakby nie istniała. Nie byłem w stanie zwrócić głowy w jej stronę. Chciałem, żeby zniknęła w mysiej dziurze, a ja razem z nią. Im bardziej ją ignorowałem, tym bardziej byłem w niej zakochany. To było dokładnie tak, jak ci niedawno powiedziałem - to było jak choroba. Wiesz, jaki to ma przebieg... Kichasz. Jeden raz. Drugi. Masz dreszcze i koniec. Jest za późno. Stało się. Podobnie było ze mną: wzięło mnie i byłem zgubiony. Żadnej nadziei. Tłumaczyła słowa starego Singa, a ja zagłębiłem się w dokumentacji. Musiała się nieźle bawić. Ta golgota trwała prawie trzy godziny... Co z tobą? Zimno ci?

- Trochę, ale to nic, nic... Mów dalej. Co było potem?

Pochylił się, żeby mi pomóc naciągnąć narzutę.

- Potem, nic. Potem... Już ci powiedziałem dane mi było przeżyć to, co najlepsze... Potem...
Potem zrobiło się smutniej.

- Ale nie od razu?

- Nie. Nie od razu. Ale wszystkie chwile, które spędziliśmy razem po tym roboczym spotkaniu, były skradzione...

- Skradzione komu?

- Komu? Czemu? Żebym to ja wiedział...

Po spotkaniu pozbierałem papiery i zakręciłem pióro. Wstałem, uściśnąłem dłonie moich katów i opuściłem to miejsce. W windzie, kiedy zamknęły się drzwi, naprawdę miałem wrażenie, że lecę w przepaść. Byłem u kresu sił i bliski łez. Miałem pustkę w głowie. Nerwy, jak sądzę... Czuję się nieszczęśliwy i zarazem żaloszny. I bardzo samotny... Zwłaszcza samotny. Wróciłem do hotelu, zamówiłem do pokoju whisky i zacząłem przygotowywać sobie kąpiel. Nawet nie znałem jej imienia. Prawie nic o niej nie wiedziałem, tylko tyle, że mówi znakomicie po angielsku, jest inteligentna, nawet bardzo. Zaimponowała mi swoją wiedzą techniczną. Co jeszcze... Że jest brunetką, bardzo ładną brunetką. Ma jakieś sto sześćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu... Nie nosi obrączki i ma najśliczniejszy na świecie brzuch. Co jeszcze? W miarę jak stygła moja kąpiel, traciłem nadzieję.

Wieczorem poszedłem na kolację z facetami z Comeksu. Nie tknąłem jedzenia. Odpowiedziałem „tak” albo „nie”, nie zdając sobie z tego sprawy. Prześladowała mnie myśl o niej, rozumiesz?

Ukląkł przed kominkiem i wolno poruszał miechem.

- Kiedy wróciłem do hotelu, recepcjonistka wręczyła mi *razem* z kluczem małą karteczkę.
„To nieprawda?” - przeczytałem jej treść napisaną drobnymi literkami.

Moja tłumaczka siedziała przy barze i przyglądała mi się z uśmiechem.

Podszedłem do niej z sercem w gardle.

Moje biedne nadwerężone serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Położyłem na nim rękę, żeby się uciszyło i zaczęło normalnie bić.

Jaki ja byłem szczęśliwy! Nie straciłem jej. Jeszcze nie.

Shczęśliwy, a także zdumiony, ponieważ wyglądała inaczej niż rano, jakby zmieniła skórę. Miała teraz na sobie stare dzinsy i podkoszulek.

- Zmieniła pani ubranie.

- No... tak.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ tamten strój, w którym mnie pan widział, to przebranie. Gdy pracuję z Chińczykami starej daty, wkładam kostium. Zauważyłam, że podobam im się w wydaniu *old fashioned*. Czują się wtedy bardziej pewni siebie... Jak by to lepiej wyrazić... Mam wrażenie, że mój uniform budzi zaufanie... Przebieram się więc za starą pannę.

- Pani nie ma w sobie nic ze starej panny, zapewniam! Pani... Było pani bardzo... Pani... Ja... W każdym razie uważam, że szkoda...

- Że zmieniłam ubranie?

- Tak.

- Więc pan także woli mnie w nieszkodliwym wydaniu?

Uśmiechnęła się, a ja topniałem.

- Wcale nie uważam, że jest pani mniej niebezpieczna w swojej zielonej spódnicy. Wcale tak nie uważam, wręcz przeciwnie.

Zamówiliśmy chińskie piwo. Miała na imię Matylda. Powiedziała, że ma trzydzieści lat. Jej ojciec i dwaj bracia pracują dla koncernu Sheila. A więc to dlatego tak świetnie zna techniczny żargon. Mieszkała we wszystkich krajach wydobywających ropę naftową, uczęszczała do pięćdziesięciu szkół i umiała kląć we wszystkich językach świata. Nie potrafi powiedzieć, gdzie jest jej dom. W sensie materialnym niczego się nie dorobiła, za to ma wielu przyjaciół i dobre wspomnienia. Lubi swoją pracę. Lubi tłumaczyć cudze myśli i żonglować słowami. Chwilowo mieszka w Hongkongu, gdzie pracy jest w bród, i to na wyciągnięcie ręki. Lubi to miasto, w którym drapacze chmur wyrastają w ciągu jednej nocy i gdzie co pięćdziesiąt metrów znajduje się jakaś knajpka. Dobrze się czuje w tym tętniącym życiem i naładowanym energią miejscu. Jako dziecko spędziła parę lat we Francji. Od czasu do czasu jedzie tam odwiedzić kuzynów. Kiedyś kupi sobie dom. Nieważne jaki, nieważne gdzie, byle były tam krowy na łące przed oknami i kominek w salonie.

Mówiła to, śmiejąc się, ponieważ bała się krów. Podbierała mi papierosy i zanim odpowiedziała na moje pytania, wznosiła najpierw oczy do góry. Sama też zadała mi parę pytań, ale szybko się wywinąłem, wołałem bowiem słuchać jej głosu z lekkim akcentem, jej niepewnych i przestarzałych wyrażen. Nie uroniłem ani jednego słowa z jej opowieści. Chciałem się nią nasycić, nasycić widokiem jej twarzy. Już uwielbiałem jej szyję, ręce, kształt paznokci, lekko wypukłe czoło, śliczny nosek, pieprzyki, podkrążone i uważne oczy... Kompletnie zwariowałem. Znow się uśmiechasz?

- Nie poznaję ciebie...

- Nadal ci zimno?

- Nie, w porządku.

- Fascynowała mnie... Chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie. Żeby ten wieczór nigdy się nie skończył. Nie chciałem się z nią rozstawać. Nigdy. Chciałem się zapaść w fotelu i słuchać jej

opowieści. Chciałem niemożliwego. Nie zdając sobie sprawy, nadałem ton naszej historii... godzinom zawieszonym w próżni, nierealnym, niemożliwym do zatrzymania, do utrwalenia. Do prawdziwego zasmakowania w nich. A potem ona wstała. Nazajutrz wcześniej zaczynała pracę. Wciąż dla Singa i jego spółki. Bardzo lubi tego szczwanego lisa, musi się wyspać, żeby mu się nie narażać. Potrafi być okropny. Wstałem równocześnie z nią. Serce znów gdzieś mi odpłynęło. Bałem się, że ją stracę. Kiedy wkładała kurtkę, wybełkotałem:

- Bjesiepatracę.

- Słucham?

- Mówię, że boję się, że panią stracę.

Uśmiechnęła się i nic nie powiedziała. Ciągłe się uśmiechając, podniosła kołnierz kurtki i zaczęła się cofać. Pocałowałem ją. Miała zamknięte usta. Pocałowałem jej uśmiech. Potrząsnęła głową i delikatnie mnie odepchnęła.

Niewiele brakowało, a upadłbym na wznak.

- To wszystko?

- Tak.

- Nie chcesz mi opowiedzieć, co było dalej, tak? Spuszczamy zasłonę?

- Ależ skąd! Ależ skąd... Poszła sobie, a ja przez resztę nocy marzyłem o niej, wygładzając karteczkę o udo. Żadna orgia, jak widzisz...

- Och! Ale jednak... To było twoje udo...

- Jakaś ty głupia, moje dziecko.

Parsknęłam śmiechem.

- Więc po co napisała tę karteczkę?

- To samo pytanie zadawałem sobie tamtej nocy i przez wszystkie kolejne dni, aż do chwili, kiedy zobaczyłem ją znowu...

- Kiedy zobaczyłeś ją znowu?

- To było dwa miesiące później, w połowie sierpnia. Siedziałem wieczorem w swoim biurze i nikogo się nie spodziewałem. Wróciłem trochę wcześniej z urlopu, żeby popracować w spokoju.

Wracała z Normandii od przyjaciółki. W Paryżu była przejazdem. Odszukała mnie w książce telefonicznej i oto jest!

Przyszła oddać mi pióro, które zostawiłem na drugim końcu świata. Miała mi je oddać wtedy w barze, ale zapomniała. Zanurzyła rękę w przepastnej torbie. Nic się nie zmieniła. Chcę przez to powiedzieć, że nie idealizowałem jej.

„Zadała sobie pani tyle fatygi, żeby mi oddać pióro?” - zapytałem głupio.

„To ładne pióro. Pomyślałam, że może jest pan do niego przywiązany”.

Wręczyła mi z uśmiechem czerwony długopis marki Bic. Długopis!

Nie wiedziałam, co zrobić. Objęła mnie, a ja się nie opierałem. Razem z nią objąłem ramionami cały świat.

Szliśmy przez Paryż, trzymając się za ręce. Od Trocadéro do wyspy Cité szliśmy wzdłuż Sekwany. Wieczór był gwiaździsty i ciepły. Wszystko spowijało łagodne światło. Niebo po zachodniej stronie było rozjaśnione poświatą słońca. Czuliśmy się jak para turystów, bez trosk i oczarowanych. Z marynarką przerzuconą przez ramię, służyłem za przewodnika. Nie wędrowałem już tak od lat. Odkrywałem na nowo moje miasto. Zjedliśmy kolację na placu Dauphine, resztę dni spędziliśmy w jej pokoju, w hotelu, w którym się zatrzymała. Pamiętam pierwszy wieczór. Słona wy smak jej skóry. Widocznie na krótko przed wejściem do pociągu kąpała się w oceanie. Wstałem w nocy, tak bardzo chciało mi się pić. Ja... Było cudownie.

Było cudownie i całkowicie nieprawdziwie. Wszystko wydawało się nieprawdziwe. Tak odległe od codziennego życia. W sierpniu paryżanie opuszczają miasto. Uciekają przed inwazją turystów. Nie byłem turystą. Nie byłem wolny. Kłamałem. Okłamywałem samego siebie. Siebie, ją, moją rodzinę. Nie była głupia i gdy przyszedł czas moralnego kaca, telefonów, które trzeba było wykonać, i kłamstw, do których trzeba było się uciec, odeszła.

Przed wejściem na pokład powiedziała: „Spróbuję żyć bez ciebie. Mam nadzieję, że mi się to uda”.

Nie miałem odwagi jej pocałować.

Tego wieczoru poszedłem na kolację do restauracji. Cierpiałem. Cierpiałem, jakby mi czegoś zabrakło, jakby odjęto mi rękę albo nogę. To było niesamowite uczucie. Pamiętam, że na papierowej serwetce narysowałem dwie sylwetki. Ta z lewej przedstawiała ją z przodu, ta z prawej z tyłu. Z największą precyzją nanosiłem pieprzyki na jej ciele. Na widok tych punkcików kelner, który nadszedł, zapytał, czy param się akupunkturą. Nie pojmowałem, co się ze mną dzieje, ale odbierałem to jako coś poważnego. Przez kilka dni byłem sobą. Ni mniej, ni więcej, tylko sobą. Kiedy byłem z nią, wydawało mi się, że jestem coś wart... To było takie proste i oczywiste. Nie wiedziałem dotąd, że mogę być coś wart.

Kochałem tę kobietę. Kochałem Matyldę. Kochałem dźwięk jej głosu, błyskotliwość, śmiech, jej spojrzenie na świat, charakterystyczny dla ludzi, którzy często podróżują. Kochałem jej śmiech, ciekawość wszystkiego, dyskrecję, plecy ze wszystkimi kręgami, trochę wystające kości biodrowe, jej milczenie, słodycz... Wszystko... Modliłem się, żeby nie potrafiła beze mnie żyć. Nie zastanawiałem się nad konsekwencjami naszej znajomości. Po prostu pierwszy raz odkryłem, że życie jest znacznie radośniejsze, gdy jest się szczęśliwym. Czekałem na to odkrycie czterdzieści

dwa lata i byłem nim tak zachwycony, że usuwałem z horyzontu wszystko, co mogłoby popsuć ten stan. Byłem jak olśniony pastuszek przy żłóbku betlejemskim.

Dolał wina do obu naszych kieliszków.

- To wtedy stałem się *workoholikiem*, jak mówią Amerykanie. Większość czasu spędzałem w biurze. Przychodziłem pierwszy, wychodziłem ostatni. Pracowałem też w soboty. W niedziele nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Pod byle pretekstem wymawiałem się od życia rodzinnego. Wreszcie dostałem kontrakt z Tajwanem i odtąd miałem więcej swobody. Korzystałem z niej, opracowując kolejne projekty. Bardziej lub mniej sensowne. A wszystko to - te zwariowane dni i godziny - z jednego tylko powodu: miałem nadzieję, że zadzwoni, czekałem na wiadomość od niej.

Gdzieś na tej planecie - może dwa kroki stąd, a może dziesięć tysięcy kilometrów - znajdowała się Matylda i nie liczyło się nic poza tym, żeby jeśli zadzwoni, mogła mnie zastać.

Byłem pełen wiary. Pełen energii. Rozpierało mnie uczucie szczęścia, ponieważ, choć nie było jej przy mnie, wiedziałem, że istnieje. To było więcej, niż mogłem się spodziewać.

Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem dostałem od niej wiadomość. Wybierała się do Francji i chciała wiedzieć, czy znajdę czas, żebyśmy mogli zjeść razem lunch. Umówiliśmy się w tej samej maleńkiej winiarni co latem, ale cóż, od tamtej pory minęło parę miesięcy i kiedy chciała wziąć mnie za rękę, szybko ją cofnąłem.

„Znają cię tutaj?” - zapytała z wyrzutem.

Dotknąłem ją do żywego. Czułem się fatalnie. Naprawiłem swój błąd, ale ona już nie chciała trzymać mnie za rękę. Czas mijał, a my nie mogliśmy się odnaleźć. Wieczorem, tego samego dnia, spotkaliśmy się w hotelu i kiedy wreszcie zanurzyłem palce w jej włosach, poczułem, że żyję.

Uwielbiałem kochać się z nią.

Nazajutrz, po południu, spotkaliśmy się w tym samym miejscu. Następnego dnia, w przeddzień wigilii, którą mieliśmy spędzić osobno, chciałem ją zapytać o plany, ale nie miałem odwagi. Ogarnął mnie jakiś niezrozumiały lęk, działo się ze mną coś takiego, że nie mogłem się do niej nawet uśmiechnąć.

Siedziała na łóżku. Usiadłem przy niej i położyłem głowę na jej kolanach.

„Co z nami będzie?” - zapytała.

Milczałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

„Bo wiesz - ciągnęła - wczoraj, kiedy stąd wyszedłeś i zostawiłeś mnie samą, powiedziałam sobie, że drugi raz czegoś takiego nie przeżyję. Nigdy więcej, słyszysz? Nigdy... Ubrałam się i wyszłam. Nie wiedziałam, dokąd iść. Nie chcę ponownie doświadczyć czegoś podobnego, nie chcę iść z tobą do łóżka i potem patrzeć, jak odchodzisz. To zbyt przykre”.

Mówienie sprawiało jej trudność.

„Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie będę cierpieć przez mężczyznę. Uważam, że na to nie zasługuję, rozumiesz? Nie zasługuję na to. I dlatego pytam cię, co z nami będzie?”.

Pozostałem niemy.

„Nie masz nic do powiedzenia? Tego się spodziewałam. Bo i co możesz mi powiedzieć? Co możesz zrobić? Masz żonę i dzieci. A kim ja jestem? Nikim w twoim życiu. Mieszkam daleko i żyję zupełnie inaczej niż ty... Nie mam domu, mebli, nie mam kota ani książki kucharskiej, nie mam też planów. Sądziłam, że to ja jestem ta najsprytniejsza, która rozumie życie lepiej od innych, i gratulowałam sobie, że dotąd nie wpadłam w pułapkę. I oto pojawiłeś się ty, a ja czuję się kompletnie zagubiona.

Teraz właśnie bardzo chciałabym zwolnić tempo, bo uważam, że życie z tobą jest piękne. Powiedziałam ci, że spróbuję żyć bez ciebie... Próbuję, próbuję, ale nie jestem wytrwała - stale myślę o tobie. A więc pytam cię teraz, i może po raz ostatni, co zamierzasz zrobić?

- Kochać cię.

- I co jeszcze?

- Obiecuję, że już nigdy więcej nie zostawię cię samej w hotelu. Obiecuję ci to”.

Zmieniłem pozycję i wtuliłem twarz w jej uda. Złapała mnie za włosy i uniosła moją głowę. „I co jeszcze?

- Kocham cię. Tylko z tobą jestem szczęśliwy. Tylko ciebie kocham. Ja... Ja... Zaufaj mi...”.

Puściła moją głowę i na tym skończyła się nasza rozmowa. Wziąłem ją czule, ale ona nie zatraciła się, pozostała bierna. A to wielka różnica.

- Co wydarzyło się potem?

- Potem rozstaliśmy się po raz pierwszy... Mówię: „po raz pierwszy”, bo rozstawaliśmy się wiele razy... Zadzwoiłem do niej... Błagałem, żeby mnie nie odtrącała. Pod byle pretekstem pojechałem do Chin. Zobaczyłem jej pokój, poznałem kobietę, od której go wynajmowała...

Przebywałem tam tydzień. Gdy Matylda wychodziła do pracy, ja zabawiałem się w hydraulika, elektryka i murarza. Naharowałem się jak nigdy w życiu. Panna Li całymi dniami śpiewała i rozpieszczała ptaki, które hodowała w klatce. W podziękę za mój trud pokazała mi port w Hongkongu i zaprowadziła do pewnej starej Angielki, prawdziwej damy, która była święcie przekonana, że jestem lordem Mountbattenem! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak dobrze wypadłem w tej roli!

- Czy zdajesz sobie sprawę, czym to wszystko dla mnie było? Jako mały chłopiec bałem się sam wjechać windą na szóste piętro. Później, gdy dorosłem, nie wychylałem nosa z dzielnicy, w której mieszkałem. Podróże ograniczały się do naszego domu na wsi. Nigdy nie widziałem moich rodziców szczęśliwych. Mój jedyny brat umarł, dusząc się, a ja ożeniłem się z pierwszą dziewczyną, siostrą jednego z moich przyjaciół, która mi się oddała, a ja nie wycofałem się w porę.

Oto całe moje życie. Tak właśnie wyglądało...

Masz pojęcie? I oto nagle jakbym powtórnie się urodził. Miałem wrażenie, że wszystko zaczęło się dzisiaj, w ramionach Matyldy, nad tymi mętными wodami, w zawilgoconej klitce panny Li...

Zamilkł.

- To była Christine?

- Nie, przed Christine... Tamtą ciążę poroniła.

- Nie wiedziałam.

- Nikt nie wie. Nikomu o tym nie mówiliśmy. Ożeniłem się z młodą dziewczyną, którą kochałem, ale tak jak się kocha pierwszy raz - miłością romantyczną i niewinną. Pierwsze niepokoje... Pierwszy poryw serca... Nasz ślub był raczej smutnym świętem. Miałem wrażenie, jakbym po raz drugi przystępował do pierwszej komunii.

Suzanne również nie było do śmiechu. Panna młoda z brzuchem... Za jednym zamachem straciła młodość i złudzenia. Oboje straciliśmy, za to mój teść zyskał idealnego zięcia. Skończyłem inżynierię górniczą, jego synowie byli... literatami. Mówił to ironicznie, akcentując sylaby.

Suzanne i ja nie byliśmy zakochani w sobie do szaleństwa, ale trzymaliśmy fason. Ustępowaliśmy sobie z drogi. W tamtych czasach uzupełnialiśmy się nawzajem.

Opowiadam ci to wszystko, choć mocno wątpię, czy jesteś w stanie to zrozumieć. Wiele się od tamtej pory zmieniło... Minęło czterdzieści lat, a wydaje się, jakby to było dwieście. Cała epoka. Wtedy panny wydawano za mąż, kiedy jeszcze nie miesiączkowały. Dla ciebie to prehistoria.

Przeciagnał rękami po twarzy.

- Na czym to ja skończyłem? Aha, tak... Mówiłem, że przebywałem na drugim końcu świata z kobietą, która zarabiała na życie, przemieszczając się z jednego kontynentu na drugi, i która zdawała się mnie kochać takim, jaki byłem, za to co miałem w sobie, za moje wnętrze. Z kobietą, która, nie waham się tego powiedzieć, kochała mnie czule. Tak, to wszystko było takie inne. Takie egzotyczne. Cudowna kobieta, która patrzyła, jak jem zupę z kobry z kwiatami chryzantem, i wstrzymywała oddech.

- To było dobre?

- Trochę galaretowate, jak na mój gust... Uśmiechnął się.

- A kiedy znów wsiadłem do samolotu, po raz pierwszy w życiu nie czułem strachu. Mówiłem sobie: niech eksploduje, runie na ziemię jak kamień i rozwali się.

- Dlaczego tak myślałeś?

- Dlaczego?

- No tak... Bo ja myślałabym wręcz odwrotnie: „Teraz naprawdę wiem, dlaczego się boję, ale nie ma żadnego racjonalnego powodu, żeby ten pieprzony samolot miał runąć!”.

- Masz rację. Tak jest logiczniej... Sama widzisz... dotykamy tu sedna problemu - ja bym tak nigdy nie powiedział. Prędzej bym się spodziewał, że runie... O ile by to uprościło moje życie...

- Spotkałeś kobietę swojego życia i myślałeś o śmierci?

- Nie powiedziałem, że chcę umrzeć!

- Nie, ja też tego nie powiedziałam. Powiedziałam, że „myślałeś o śmierci”.

- Wydaje mi się, iż nie ma dnia, żebym o niej nie myślał, a ty nie?

- Nie.

- Więc uważasz, że twoje życie jest coś warte?

- Hmm... Tak... Mimo wszystko... A poza tym są dziewczynki...

- To jest powód.

Zagłębił się w fotelu i znów jego twarz stała się niewidoczna w cieniu.

- Tak. Zgadzam się z tobą, to było niedorzeczne. Ale dopiero co doznałem tyle szczęścia... Byłem zaintrygowany, ale też trochę przerażony. Czy można być aż tak szczęśliwym? Czy to normalne? Czy mam do tego prawo? Jaką cenę przyjdzie mi za to zapłacić?

Bo przecież... Czy moje obiekcje wynikały z wychowania i religii? Czy to tkwiło w mojej naturze, w charakterze? Nie znałem odpowiedzi, ale jedno jest pewne, że zawsze porównywałem siebie do roboczego zwierzęcia. W wędzidle, w uprzęży, z kłapami na oczach, idącego przy drążku, ciągnącego pług albo wóz, orzącego w jarzmie... Od dziecka chodzę ulicą ze spuszczoną głową i wpatruję się w ziemię, jakbym stapał po cienkim i niepewnym gruncie.

Małżeństwo, rodzina, praca, meandry życia społecznego... Do wszystkiego podchodziłem nieufnie, ze spuszczoną głową i z zaciśniętymi szczękami. A tak na marginesie - jestem, a w każdym razie byłem dobry w squashu. Dobrze się czułem zamknięty w małym pomieszczeniu; uderzona piłka wracała do mnie z siłą pocisku armatniego. Uwielbiałem to.

„Ty uwielbiasz squasha, a ja jokari, to wiele wyjaśnia...” - podsumowała kiedyś Matylda, masując mi obolałe ramię. Umilkła na chwilę, a potem dodała: „Zastanów się nad tym, co powiedziałam, to wcale nie jest takie głupie. Ludzie, którzy wewnątrz są usztywnieni, rygorystyczni, w zderzeniu z życiem zawsze robią sobie krzywdę, natomiast ci wewnątrznie elastyczni lepiej sobie radzą i mniej cierpią. Uważam, że powinieneś zainteresować się jokari, bo ta gra jest o wiele zabawniejsza. Uderzasz w piłeczkę umocowaną do linki i masz pewność, że do ciebie wróci. Wiesz, to ciekawe, ale mam wrażenie, że jestem twoją piłeczką jokari...”.

Nie podjąłem tematu, więc w milczeniu masowała mnie dalej.

- Nigdy nie myślałeś, żeby zacząć z nią nowe życie?

- Tak, oczywiście... Tysiąc razy.

Tysiąc razy chciałem i tysiąc razy rezygnowałem... Doprowadzałem wszystko na skraj przepaści i w te pędy uciekałem. Czułem się odpowiedzialny za Suzanne, za dzieci.

Odpowiedzialny za co? Kolejne kłopotliwe pytanie... Zobowiązałem się. Złożyłem przysięgę i muszę dotrzymać danego słowa. Adrien miał szesnaście lat i przechodził trudny okres. Wciąż zmieniał licea, wypisywał w windzie *No future* i miał tylko jedno w głowie: pojechać do Londynu i wrócić ze szczurem na ramieniu, żeby dać wyraz swojej kontestacji. Suzanne była załamana. Coś wymykało się jej z rąk. Kto odmienił jej chłopczyka? Po raz pierwszy widziałem, że traci grunt pod nogami. Stała się milcząca i potrafiła przez cały wieczór nie otworzyć ust. Czy miałem prawo pogarszać tę i tak niełatwą sytuację? A poza tym mówiłem sobie... Mówiłem sobie...

- Co sobie mówiłeś?

- Zaczekaj, to groteskowe, ale muszę sobie przypomnieć słowa z tamtej epoki... Brzmiały mniej więcej tak: „Jestem wzorem dla moich dzieci. One zaś wchodzą w życie. Wkrótce będą musiały podejmować decyzje. Gdybym opuścił ich matkę, stałbym się dla nich fatalnym przykładem...”. Rozumiesz mój tok myślenia? „Czy potrafią stawić czoło losowi, jeśli wprowadzę zamęt w ich życie? Muszę się liczyć z nieodwracalnymi skutkami mojego kroku w ich psychice. Nie jestem idealnym ojcem, daleko mi do tego, ale jestem dla nich punktem odniesienia, muszę więc... hmm... wytrwać”.

Parsknął szyderczo.

- Pięknie to sobie wymyśliłem, prawda? Przyznaj, że to było szlachetne z mojej strony.

Nabrałam wody w usta.

- Myślałem głównie o Adrienie... Muszę być wzorem odpowiedzialności dla mojego syna... Możesz się śmiać i szydzić ze mnie. Nie żałuj sobie. Nieczęsto się słyszy tak budującą historię.

Potrząsnęłam głową.

- A jednak... - powiedział i zamyślił się.

- A jednak... - ponagliłam.

- No właśnie... Przyszedł taki moment, kiedy stanąłem tuż nad przepaścią... Naprawdę byłem bardzo bliski odejścia... Poczyniłem pewne kroki w celu wynajęcia jakiejś kawalerki, dokąd będę zabierał Christine na weekendy. Zastanawiałem się, jakich słów użyć, żeby powiedzieć o wszystkim żonie, ćwiczyłem tę scenę wielokrotnie podczas jazdy samochodem. Umówiłem się nawet z moim księgowym, żeby na podstawie moich dochodów wyliczył wysokość alimentów, aż tu pewnego ranka - popatrz, jakie życie potrafi być przewrotne - do mojego gabinetu wchodzi zapłakana Françoise...

- Françoise? Twoja sekretarka?

- Tak. Właśnie porzucił ją mąż... Nie poznawałem jej. Ona, taka żywiołowa, stanowcza, tak świetnie radząca sobie z samą sobą i ze światem, w jednej chwili zamienia się w kupkę nieszczęścia. Płacze, chudnie, wszystko jej leci z rąk i cierpi. I to jak cierpi! Łyka pigułki uspokajające, chudnie nadal i pierwszy raz w życiu idzie na zwolnienie lekarskie. Ciągłe płacze, nawet przy mnie. Na co ja - jakież musiałem wydawać się sobie godny podziwu, gdy teraz o tym pomyślę - zdobywam się na odwagę i zaczynam krakać jak inne wrony. Co za łajdak, potakuję, co za łajdak. Jak można zrobić coś takiego swojej ślubnej małżonce? Jak można być takim egoistą? Zamknąć za sobą drzwi, jak gdyby nigdy nic! Odejść z jej życia, jakby się poszło na wycieczkę. No nie, to zbyt łatwe! Zbyt łatwe!

Nie, naprawdę, co za łajdak. Co za podły typ! Bo ja, proszę pana, ja nie jestem taki jak pan! Ja nie porzucam mojej żony, proszę pana. Nie zostawiam mojej żony i gardzę panem... Tak, gardzę panem z całej duszy, drogi panie!

Oto co myślałem. Aż nazbyt szczęśliwy, że wykpię się tanim kosztem, że dobrze wypadnę i ustroję się w piórka. O tak, podnosiłem moją Françoise na duchu, pocieszałem. O tak, przytakiwałem, o nie, powtarzałem za nią, nie miałaś szczęścia. Nie miałaś...

Prawdę mówiąc, powinienem błogosławić w duchu tego pana Jarmeta, którego w życiu na oczy nie widziałem. Powinienem go błogosławić w duchu. Podsunął mi rozwiązanie na srebrnej tacy. Dzięki niemu, dzięki jego nikczemności, mogłem powrócić do mojego bezpiecznego małego komfortu z podniesioną głową. Praca, Rodzina, Ojczyzna, oto jestem, melduję się. Z podniesioną głową i na baczność! Domyślasz się pewnie, że schlebiało to trochę mojej miłości własnej, znasz mnie przecież... Doszedłem do jakże budującego wniosku, że... nie jestem taki jak inni. Że jestem trochę ponad. Tylko odrobinę, ale jednak. Ja nie zostawiłem mojej żony, ja...

- To wtedy zerwałeś z Matyldą?

- A niby dlaczego? Nie, skądże. Nadal ją widywałem, tyle że odłożyłem ucieczkę na dalszy plan i przestałem tracić czas na oglądanie nędznych mieszkańek do wynajęcia. Bo ja, jak ci to błyskotliwie wyjaśniłem, byłem ulepiony z innej gliny i nie pakowałem się w tarapaty. To dobre dla ludzi nieodpowiedzialnych. Dla mężów sekretarek. Był sarkastyczny i pienił się ze złości.

- Nie, nie zerwałem, nadal przelatywałem ją z czułością, obiecując, że „zawsze będziemy razem, tylko trochę później”.

- Mówisz prawdę?

- Tak.

- To brzmi jak kwestia z ponurego melodramatu.

- Tak.

- Prosiłeś, żeby była cierpliwa i obiecywałeś, że już niedługo będziecie razem?

- Tak.

- I ona to wszystko znosiła? Jak to robiła?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem...

- Może cię kochała?

- Może.

Wypił do dna swój kieliszek wina. Bardzo możliwe... Bardzo możliwe...

- I nie odszedłeś z powodu Françoise?

- Oczywiście. A ściśle mówiąc, z powodu Jeana Paula Jarmeta. A właściwie tak tylko mówię, bo gdyby jego nie było, znalazłbym inny pretekst. Ludzie nieuczciwi są mocni w wynajdywaniu pretekstów. Bardzo mocni.

- Aż nie chce mi się wierzyć...

- W co?

- W tę historię... Kiedy się zna jej kulisy... Nie, to niepojęte...

- Nie, Chloé, to wcale nie jest niepojęte... Nie, wcale nie jest niepojęte. Tak wygląda życie. Prawie każdego człowieka. Lawiruje się, kombinuje, mości, a tchórzostwo siedzi w nas jak oswojone zwierzątko. Pieścimy je, hodujemy, przywiązujemy się do niego. To jest życie. Ludzie dzielą się na odważnych i na tych, którzy się przystosowują. O ileż łatwiej jest się przystosować... Czeka, podaj mi butelkę.

- Zamierzasz się upić?

- Nie. Nie potrafię się upić. Nigdy mi się nie udało. Im więcej piję, tym jestem trzeźwiejszy...

- To straszne!

- To straszne, masz rację... Nalać ci?

- Nie, dziękuję.

- A może dojrzałaś już do ziołowej herbaty?

- Nie, nie. Jestem... Już sama nie wiem... Może osłupiała...

- Osłupiała? Z jakiego powodu?

- Z twojego, wyobraź sobie! Nigdy nie słyszałam, żebyś wypowiedział dwa zdania naraz, czy żeby jedno słowo zabrzmiało głośniejsze niż inne, nigdy nie odkryłeś swojej duszy. Zawsze przywdziewałeś szaty Wielkiego Inkwizytora... Nigdy nie przyłapałam cię na żadnej słabości czy czułości, i nagle, teraz, wyrzucasz z siebie to wszystko, tak po prostu, bez żadnego uprzedzenia...

- Zaszokowałam cię?

- Nie, nie, ani trochę! Ani trochę! Wręcz przeciwnie! Przeciwnie... Zastanawiam się tylko, jak przez ten cały czas udawało ci się grać tę rolę?

- Jaką rolę?

- Starego drania.

- Ależ ja jestem starym draniem, Chloé! Jestem starym draniem. Już od dłuższego czasu usiłuję cię o tym przekonać!

- Ależ nie! Skoro zdajesz sobie z tego sprawę, to znaczy, że nim nie jesteś! Prawdziwi dranie nie zdają sobie sprawy ze swojego draństwa!

- Spokojnie, nie daj się na to nabrać... To jeszcze jedna z moich sztuczek, żeby wyjść z tego z honorem. Jestem w tym bardzo dobry...

Uśmiechnął się do mnie.

- Nie do wiary... Nie do wiary...

- Co?

- Wszystko, co mi opowiedziałeś...

- Wcale nie. Powiedziałbym nawet, że to jest banalne. Bardzo, ale to bardzo banalne... Przemówiłem dzisiaj, bo chodzi o ciebie, bo jesteśmy tutaj, w tym pomieszczeniu, w tym domu, bo jest noc, i dlatego, że Adrien zadał ci ból. Jego decyzja przyprawia mnie o rozpacz, ale też dodaje mi odwagi. Nie mogę patrzeć, jak cierpisz, bo wiem, jak to boli. Sam też zadawałem ból... Wierz mi, lepiej, żebyś bardzo cierpiała teraz niż trochę przez całe życie.

Znam ludzi, którzy cierpią trochę, tylko trochę, akurat tyle, żeby zmarnować sobie życie, rozumiesz... Tak, w moim wieku widuje się wiele takich osób... Ludzi, którzy są ciągle razem, ponieważ zasklepili się w tym swoim miałkim, bezbarwnym i nijakim życiu. Pogodzili się z losem.

Brawo, brawo! Pogrzebaliśmy wszystko - przyjaciół, marzenia i naszą miłość, a teraz kolej na nas! Brawo, drodzy przyjaciele!

Zaklaskał w dłonie.

- Przegrani, zrezygnowani. Nienawidzę ich. Nienawidzę, słyszysz? A wiesz dlaczego? Bo widzę w nich siebie. Pławią się w samozadowoleniu. Okręt utrzymał kurs! Ale za jaką cenę? Dobry Boże! Za jaką cenę? Pozostają przecież żal, wyrzuty sumienia, bolesne rany, które się nie goją i nigdy się nie zagoją. Nigdy, rozumiesz, nigdy! Nawet w ogrodzie Hesperyd. Nawet gdy w otoczeniu prawników usiądziesz do fotografii. Nawet gdy udzielisz prawidłowej odpowiedzi w „Milionerach”.

Nie wiem, czy nigdy się nie upił, ale teraz zachowywał się, jakby był pijany.

Przestał mówić i gestykulować. Trwaliśmy w milczeniu przez dłuższą chwilę, obserwując języki ognia.

- Nie skończyłem opowiadać o Françoise.

Mówił szeptem i musiałam nadstawić ucha, żeby go słyszeć.

- Kilka lat temu ciężko zachorowała... Bardzo ciężko... Zzerał ją rak. Najpierw usunięto jajnik, później drugi, następnie macicę... Wreszcie, nie wiem zbyt wiele, bo, jak się domyślasz, nigdy nie byłem jej powiernikiem, ale okazało się, że jest *znacznie* gorzej, niż przypuszczano. Françoise liczyła tygodnie, które jej jeszcze zostały. Miała nadzieję, że dożyje do Bożego Narodzenia. W jej stanie o Wielkanocy nie miała co marzyć.

Pewnego dnia zatelefonowałem do niej do szpitala z propozycją. Ofiarowałem jej podróż dookoła świata w królewskich warunkach. Fundowałem najpiękniejsze suknie z najszlachetniejszych domów mody, w których defilowałyby na pokładzie dużego pasażerskiego statku, sącząc Pimm'sy... Françoise uwielbia ten angielski koktajl.

„Niech pan zatrzyma swoje pieniądze - powiedziała. - W dniu, w którym będzie pan odchodził na emeryturę, wzniosę za pana toast!”.

Żartowaliśmy sobie. Byliśmy dobrymi aktorami, którym zaschło w gardle, ale za to mieli celne riposty. Rokowania były tragiczne. Dowiedziałem się o tym od jej córki. Boże Narodzenie stało pod znakiem zapytania.

„Proszę nie wierzyć w to, co mówią lekarze -zapewniała Françoise. - Jeszcze nie umieram. Będzie pan musiał poczekać, zanim na moje miejsce zatrudni jakąś młodą sekretarkę”. Odłożyła słuchawkę, a ja się rozplakałem. Właśnie odkryłem, jak bardzo ją lubię, ją także. Jak bardzo jej potrzebuję. Przepracowaliśmy razem siedemnaście lat. Nieprzerwanie. Dzień w dzień. Znosiła moje humory przez siedemnaście lat, pomagała mi... Wiedziała o Matyldzie i nigdy nie pisnęła słówkiem na temat mojego romansu. Zawsze lojalna i dyskretna. Uśmiechała się do mnie, gdy byłem nieszczęśliwy, i wzruszała ramionami, kiedy byłem niemiły. *Zaczęła* u mnie pracować jako dwudziestoletnia dziewczyna, tuż po szkole hotelarskiej. Rzuciła poprzednią robotę, ponieważ kucharz uszczypnął ją w pośladek. Nie chciała wracać do rodziców, którzy mieszkali w departamencie Creuse. Pojedzie tam, gdy kupi własny samochód, by mieć gwarancję, że w każdej chwili może stamtąd ponownie wyjechać! Zatrudniłem ją z powodu tego zdania.

Ona także była moją królewną...

Od czasu do czasu dzwoniłem do niej, żeby się poskarżyć na jej zastępczynię.

A potem, po kilku miesiącach, kiedy wreszcie się zgodziła, postanowiłem ją odwiedzić. Była wiosna. Przeniesiono ją do innego szpitala. Leczenie było mniej przykre i uciążliwe, a jego postępy przywróciły wiarę lekarzom, którzy codziennie gratulowali Françoise hartu i dobrego humoru. Powiedziała mi przez telefon, że znowu udziela rad na każdy temat i wszystkim. Ma pomysł na urządzenie pokoju i właśnie układa sobie w głowie wzór patchworka. Krytykowała nieprzy-

stosowanie sal szpitalnych do potrzeb pacjentów i fatalną organizację pracy pielęgniarek. Zażądała widzenia z kierownikiem administracyjnym, żeby omówić z nim szczegóły. Gdy zażartowałem, że przewraca stary porządek do góry nogami, broniła się: „Ależ przeze mnie przemawia zdrowy rozsądek. Wyłącznie zdrowy rozsądek!“. Głos miała energiczny i silny, więc z lekkim sercem jechałem do kliniki.

A jednak na jej widok doznałem szoku. To już nie była *my fair lady*, ale wychudzony kurczaczek bez szyi. Twarz, ręce, ramiona obciągnięte żółtawą skórą. Oczy zrobiły się jej dwa razy większe, ale najbardziej zaszokowała mnie peruka. Widocznie włożyła ją w pośpiechu i przedziałek nie wypadł pośrodku. Przekazywałem jej nowinki z biura, mówiłem o dziecku Caroline i kontraktach, nad którymi pracujemy, ale przez cały czas prześladowała mnie myśl, że peruka zaraz się ześlizgnie z głowy Françoise.

W pewnej chwili ktoś zapukał i do pokoju wszedł mężczyzna. „O przepra...” - powiedział na mój widok i chciał się wycofać, ale Françoise go przywołała. „Pierre, przedstawiam ci Simona, mojego przyjaciela. Nie mieliście dotąd okazji się poznać...”. Wstałem. Rzeczywiście, nie znałem go. Nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. Byliśmy tacy powściągliwi, Françoise i ja... Uścisnął mi mocno dłoń, a w jego szarych oczach ujrzałem całą dobroć świata. Kiedy znowu usiadłem, on zbliżył się do Françoise, żeby ją pocałować, i wiesz, co przy tym zrobił?

- Nie.

- Ujął tę twarzyczkę umęczonej lalki w dłonie, jakby zamierzał ją pocałować żarliwie i namiętnie, i korzystając z okazji, szybkim ruchem poprawił perukę. Rozzłościła się na niego, skarciła za nieuwagę, a on tylko uśmiechał się dobrodusznie. Szybko się pożegnał i wyszedł pod pretekstem kupienia gazety.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Françoise powoli odwróciła głowę w moją stronę. Oczy miała pełne łez. Wyszepiała: „Gdyby nie on, poddałabym się... Jeżeli walczę, to dlatego, że jest jeszcze tyle rzeczy, które chcemy razem zrobić. Tyle rzeczy...”.

Uśmiechnęła się i był to przerażający widok. Szczęki zrobiły się monstrualnie wielkie. Miałem wrażenie, że zaraz wypadną jej wszystkie zęby, a skóra na policzkach pęknie. Byłem bliski zwymiotowania. I do tego ten przykry odór... Mieszanina zapachu lekarstw, śmierci i wody kołońskiej. To było trudne do zniesienia i ledwo się powstrzymałem, żeby nie zatkać sobie nosa. Czuję, że jeszcze chwila, a nie wytrzymam. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Prawie nic nie widziałem. Tarłem powieki, że niby wpadł mi do oka jakiś pyłek. Françoise zapytała z uśmiechem: „Coś nie w porządku?”. „Nie, nie” - odpowiedziałem. Czuję, że usta układają mi się w podkówkę, jak u małego dziecka, które zaraz się rozplacze. „W porządku... To tylko... Nie widzę, żebyś

miała tęgą minę, Françoise...". Zamknęła oczy i położyła głowę na poduszce. „Proszę się nie przejmować. Wyjdę z tego... On za bardzo mnie potrzebuje”.

Wyszedłem stamtąd kompletnie załamany. Oparłem się o ścianę, żeby nie upaść. Długo trwało, zanim przypomniałem sobie, gdzie postawiłem samochód, pogubiłem się na tym cholernym parkingu. „Co się ze mną dzieje” - zastanawiałem się. Czy widok Françoise tak na mnie podziałał? Czy też ten przykry zapach zdezynfekowanej kostnicy, a może po prostu samo miejsce? To wszechobecne cierpienie. I moja mała Françoise, wyniszczona chorobą, mój anioł zagubiony pośród umarłaków. Taka mała w szpitalnym łóżku. Co oni zrobili mojej królowi? Dlaczego tak się z nią okrutnie obeszli?

Odnalezienie samochodu zabrało mi bardzo dużo czasu, równie długo go uruchamiałem, a potem potrzebowałem jeszcze paru minut, żeby wrzucić pierwszy bieg, a wiesz dlaczego? Wiesz, dlaczego tak się ślaniałem? Nie z powodu Françoise, ani jej cierpienia, oczywiście, że nie.

Podniósł głowę.

- To była rozpacz, poczucie bezsilności. Tak, uczucia te wracały do mnie jak bumerang...

Milczenie.

W końcu się odezwałam:

- Pierre?

- Tak?

- Może wyda ci się to dziwne, ale napiłabym się teraz ziołowej herbaty...

Wstał ochoczo, żeby zamaskować w ten sposób swoją wdzięczność.

- Ojej! No tak, tak, nigdy nie wiesz, czego chcesz, naprawdę potrafisz być męcząca - gderał.

Poszłam za nim do kuchni i usiadłam za stołem. Patrzyłam, jak stawia na ogniu rondel z wodą i krząta się. Drażniło mnie światło. W czasie gdy otwierał szafki, opuściłam jak najniżej abażur.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Pod warunkiem, że mi powiesz, gdzie znajdę to, czego szukam.

- Tam, przed tobą, w czerwonym pudełku.

- W tym? Dawniej herbata była gdzie indziej. Ciągłe się coś przestawia... Przepraszam, słucham.

- Ile lat się spotykaliście?

- Z Matyldą?

- Tak.

- Między Hongkongiem i naszą ostatnią rozmową - pięć lat i sześć miesięcy.

- A dużo czasu spędzaliście razem?

- Nie, już ci to powiedziałem. Kilka godzin, kilka dni...

- I to ci wystarczało?

- To ci wystarczało?

- Nie, oczywiście, że nie. A właściwie tak, skoro nic nie zrobiłem, żeby to zmienić. Tak też sobie powiedziałem po wszystkim. Może to było właśnie to, co mi pasowało? „Pasowało”... jakie to brzydkie słowo. Może urządziła mnie ta sytuacja - z jednej strony żona, do której mam zaufanie, a z drugiej - wielkie emocje. W domu czekała na mnie co wieczór kolacja i uczucie staczania się na dno od czasu do czasu... Syty żołądek i odpowiednio napięta skóra brzucha. To było praktyczne, to było wygodne...

- Wzywałeś ją, kiedy jej potrzebowałeś?

- Tak, tak mniej więcej było... Postawił przede mną filiżankę.

- Właściwie, nie... To nie było tak... Pewnego dnia, na samym początku, przysłała mi list. Zresztą jedyny, jaki kiedykolwiek do mnie wysłała. Pisała:

Wszystko przemyślałam i pozbyłam się złudzeń. Kocham cię, ale nie mam do ciebie zaufania. Ponieważ wszystko, co nas dotyczy, jest nierealne, więc umówmy się, że to jest gra. A ponieważ to jest gra, trzeba ustalić reguły. Nie chcę się więcej z tobą widywać w Paryżu. Ani w Paryżu, ani w żadnym innym miejscu, gdzie nie mogę wziąć cię za rękę na ulicy, ani pocałować w restauracji, bo boisz się, że ktoś nas zobaczy. Jestem za stara na zabawę w kotka i myszkę. Więc albo będziemy się spotykać jak najdalej od Paryża, w innych krajach, albo wcale. Gdy będziesz wiedział, dokąd wyjeżdżasz, napiszesz do mnie i wyślesz list pod adres mojej siostry w Londynie, a ona mnie powiadomi. Nie sil się na miłe słówka, tylko zwyczajnie mnie zawiadom. Podaj nazwę hotelu, w którym się zatrzymasz, i datę. Jeżeli będę mogła, spotkam się z tobą, jeżeli nie, trudno. Nie próbuj do mnie dzwonić, ani dowiadywać się, gdzie jestem, ani jak żyję. Zastanowiłam się i uważam, że wybrałeś najlepsze rozwiązanie, i że powinnam wziąć przykład z ciebie - mieć swoje życie na boku, kochając cię nadal, ale z daleka. Nie chcę czekać na twoje telefony, nie chcę sobie odmawiać prawa do zakochania się, chcę sypiać, z kim zechcę, i kiedy zechcę, i nie mieć skrupułów. To ty bowiem masz rację - życie bez skrupułów jest... *it's more convenient*. Dotąd patrzyłam na to inaczej, ale czemu nie? Chętnie spróbuję. W końcu co mam do stracenia? Tchórzliwego mężczyznę? A do wygrania? Przyjemność spania w twoich ramionach od czasu do czasu... Zastanowiłam się i chętnie spróbuję. Albo zyskam, albo stracę...

- O co chodzi? Dlaczego się uśmiechasz?

- O nic. Po prostu bawi mnie, że trafiłeś na godną siebie partnerkę.

- A właśnie że nie, niestety. Kołysała biodrami i przybierała pozę *femme fatale*, gdy w rzeczywistości była bardzo tkliwą istotą. Godząc się na jej warunki, jeszcze o tym nie wiedziałem, zrozumiałem to o wiele później... Po pięciu latach i sześciu miesiącach...

A właściwie nie. Kłamię. Domyślałem się tego między wierszami, domyślałem się, ile ją musiały kosztować podobne zdania, ale nie chciałem się nad tym zastanawiać, ponieważ... bardzo mi te reguły gry odpowiadały. Nawet więcej niż bardzo. Musiałem tylko uaktywnić gałąź import-eksport i przywyknąć do uczucia paniki w chwili startu samolotu, to wszystko. Dla faceta, który chce bezkarnie zdradzać żonę, taki list to prawdziwa gratka. Oczywiście, zaniepokoił mnie trochę ten fragment, w którym pisała o spaniu z innymi facetami i zakochaniu się w kim innym, ale do tego było jeszcze daleko...

Usiadł u szczytu stołu, na swoim stałym miejscu.

- Sprytnie, prawda? Tak, w tamtych czasach byłem nielichem spryciarzem... Tym bardziej że dzięki tej historii zarabiałem niezłe pieniądze... Dotąd zaniedbywałem kontakty międzynarodowe...

- Skąd w tobie tyle cynizmu?

- Sama przed chwilą odpowiedziałas na to pytanie...

Pochyliłam się, żeby wyjąć torebkę z herbatą z filiżanki.

- A ponadto to było takie romantyczne... Wysiadłem z samolotu z bijącym sercem, zjawiałem się w hotelu z nadzieją, że klucza do mojego pokoju nie ma już w recepcji, stawiałem bagaże przy drzwiach i rozglądałem się po wnętrzu, żeby się przekonać, czy ona już tu była. Wychodziłem do pracy, wracałem wieczorem, modląc się, żeby ją zastać w moim łóżku. Czasami była, czasami nie. Czasami docierała w środku nocy i zatracaliśmy się w miłości bez reszty, nie zamieniając nawet jednego słowa. Zasztywaliśmy się pod kołdrą, śmialiśmy się, zachwyceni, że się odnaleźliśmy. Wreszcie. Tak daleko. Tak blisko. Czasami pojawiała się dopiero nazajutrz, a ja spędzałem noc w barze, nad słuchując dźwięków z holu. Czasami brała inny pokój i kazała mi przyjść do siebie o świcie. Czasami nie zjawiała się wcale. Nienawidziłem jej za to. Wracałem do Paryża w złym humorze. Początkowo rzeczywiście miałem pracę, ale później było jej coraz mniej. Wymyślałem jakiś pretekst, żeby móc wyjechać. Czasami miałem okazję zobaczyć nowy kraj, kiedy indziej nie opuszczałem pokoju w hotelu. Zdarzyło nam się nawet nie wyjść poza teren lotniska... To było niesamowite. Niepodobne do niczego. Czasami rozmawialiśmy bez przerwy, kiedy indziej nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Wierna obietnicy, Matylda nigdy nie mówiła o swoich sprawach uczuciowych. Chyba że w najbardziej intymnych chwilach. Doprowadzało mnie to do szału, gdy w chwilach uniesień przywoływała nie mnie... Byłem zdany na łaskę i niełaskę tej kobiety. Obrażałem się, kiedy udawała, że myli mnie w ciemnościach z kim innym. Brałem ją wtedy brutalnie, za-

dawałem jej fizyczny ból i robiłem to wbrew sobie, bo tak naprawdę chciałem ją tulić i mocno trzymać w ramionach.

Graliśmy swoje role i oboje cierpieliśmy. Kompletny absurd! Marzyłem, żeby ją dorwać i potrząsać nią, aż wypluje ten swój jad. Aż mi powie, że mnie kocha. Aż mi to powie, do licha! Ale nie mogłem, bo to ja byłem łajdakiem. Wszystko to była moja wina...

Podniósł się, żeby przynieść swój kieliszek.

- Na co liczyłem? Że taka sytuacja będzie trwała latami? W nieskończoność? Nie, nie liczyłem na to. Rozstawaliśmy się smutni i niezdarzy, nie mówiąc o następnym spotkaniu. Nie, to było nie do zniesienia... Im bardziej ją kochałem, tym bardziej traciłem wiarę, czułem się bezsilny, schwytywany we własne sieci.

- To znaczy?

- Byłem pewien, że ją tracę...

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz, rozumiesz... A co według ciebie miałem zrobić, co? Znasz jakiś sposób?

- Nie.

- Oczywiście, że nie znasz. Nie możesz znać. Bo sama znalazłaś się w takim punkcie, kiedy nie wiesz, co robić.

- Co jej konkretnie obiecywałeś?

- Już nie pamiętam... Nic wielkiego, jak sądzę. Na pewno nic wielkiego... Owszem, pytała o przyszłość naszego związku, a kiedy czekała na odpowiedź, całowałem ją. Miałem prawie pięćdziesiąt lat i uważałem, że jestem stary, że zbliżam się do końca drogi. Jeszcze pełnej słońca... Mówiłem sobie: „Nie rób nic na siłę, nie ponagłaj, ona jest młoda, ona pierwsza odejdzie”, i za każdym razem, kiedy ją odnajdywałem, byłem wniebowzięty, ale też zdumiony. Jak to? Jeszcze tutaj jest? Ale dlaczego? Nie mogłem zrozumieć, co ona we mnie widzi. Mówiłem sobie: „Po co wprowadzać zamieszanie, skoro to ona mnie opuści?”. To było przesądzone. Nie było żadnego powodu, dla którego miałyby się pojawić następny raz, żadnego powodu... W końcu doszło do tego, iż miałem wręcz nadzieję, że jej nie będzie. Dotąd życie samo podejmowało za mnie decyzje, więc dlaczego miałyby się to zmienić? Dlaczego? Dowiodłem przecież, że nie potrafię wziąć spraw w swoje ręce... W swoim zawodzie, tak, to była gra i byłem w niej najlepszy, ale w innych sprawach...? Wołałem cierpieć, wołałem się pocieszać, że jestem tym, który cierpi. Wołałem marzyć, niż żałować. O ile to łatwiejsze...

Moja stryjeczna babka, która była Rosjanką, powiedziała mi kiedyś: „Jesteś jak twój ojciec, tęsknisz za górami”. Zapytałem za jakimi górami, a ona odpowiedziała: „Za tymi, których nie znasz, oczywiście!”.

- Tak powiedziała?
- Tak. Potem powtarzała to za każdym razem, gdy patrzyłem w okno...
- A na co patrzyłeś?
- Na autobusy! Zaśmiał się.
- Spodobałaby ci się... Opowiem ci o niej w któryś piątek.
- To znaczy, że zjemy razem obiad „U Dominika”?
- Tam i wszędzie gdzie zechcesz, tak jak obiecałem.

Nalał mi herbaty.

- Wracając do Matyldy, co w tym czasie robiła?

- Nie wiem... Pracowała. Dostała posadę w UNESCO, ale szybko stamtąd odeszła. Nie odpowiadało jej siedzenie całymi dniami w zamkniętym pomieszczeniu i tłumaczenie mowy trawy polityków. Wolała świat biznesu, gdzie jakość adrenaliny jest na wyższym poziomie. Włóczyła się, odwiedzała rozrzuconych po świecie braci, siostry, przyjaciół. Przez jakiś czas była w Norwegii, ale nie polubiła tego kraju ani ludzi, a poza tym dla niej było tam za zimno... Przeniosła się do Londynu i tłumaczyła teksty techniczne. Uwielbiała swoich siostrzeńców.

- A poza pracą?

- Ano właśnie... Jedna wielka niewiadoma. Bóg mi świadkiem, że próbowałem pociągnąć ją za język, ale... Nabierała wody w usta, kręciła. „Przynajmniej zostaw mi to - mówiła - przynajmniej zostaw mi moją godność. Godność kobiety z „Zatraconych uliczek”^{*}. Chyba nie żądam zbyt wiele?”. Nie pozostawała mi dłużna i śmiejąc się, torturowała mnie: „A właśnie, nie powiedziałam ci, w zeszłym miesiącu wyszłam za mąż. Zdjęcia ze ślubu są już wywołane, ale zapomniałam zabrać. Mój mąż ma na imię Billy, nie jest zbyt rozgarnięty, ale umie się mną zająć, rozumiesz...”.

- I to cię śmieszyło?

^{*} Oryginalny tytuł filmu - „Back Street” - według trzykrotnie filmowanej powieści Fanny Hurst pod tym samym tytułem. Film o zakazanej miłości, o tej drugiej, która godzi się na życie w ukryciu (przyp. tłum.).

- Nie, ani trochę.
- Kochałeś ją?
- Tak.
- Jak bardzo?
- Po prostu kochałem.
- A jak zapamiętałeś tamte lata?

- Mam dziury w pamięci. Białe plamy. Kiedy wracam myślami do tego okresu, mam wrażenie, że nasz romans nie trwał dłużej niż jeden sezon... Nawet nie sezon, jedno tchnienie. Może moja miłość do Matyldy była złudzeniem... Może mi się to wszystko przyśniło... Brakowało nam codziennego życia. Z tego powodu Matylda cierpiała najbardziej, tak sędzę... Domyślałem się tego, ale pewnego wieczoru, po długim dniu pracy, przekonałem się o tym dobitnie.

Gdy wszedłem, siedziała przy biurku i coś pisała na hotelowym papierze. Zapisała już maczkiem kilka stron.

„Do kogo piszesz? - zapytałem, pochylając się za jej plecami.

- Do ciebie.

- Do mnie?"

Porzuca mnie, przemknęło mi przez myśl i zrobiło mi się niedobrze.

„Co ci jest? Jesteś bardzo blady. Jak się czujesz?

- Dlaczego do mnie piszesz?

- Och, tak sobie. Piszę, co bym chciała razem z tobą robić..."

Kartki leżały wszędzie. Wokół niej, na podłodze, na łóżku. Wziąłem jedną z nich, na chybił trafił, i zacząłem czytać:

...pojechać na piknik, urządzić sjęstę nad brzegiem rzeki, jeść brzoskwinie, krewetki, rogali-ki, ryż, pływać, tańczyć, kupić sobie pantofle, seksowną bieliznę, perfumy, czytać gazetę, oglądać wystawy, pojechać metrem, dopilnować wizyty u dentysty, zrobić ci miejsce obok mnie na ławce w parku, powiesić pranie, pójść do opery w Bayreuth, w Wiedniu, na wyścigi, do supermarketu, urządzić grillowanie, pogderać, gdy zapomnisz o węglu drzewnym do kominka, myć razem zęby, kupować ci kalesony, strzyc trawnik, czytać ci gazetę przez ramię, wydzielać orzeszki, bo jesz ich za dużo, zwiedzać jaskinie nad Loarą i w Hunter Valley, wygłupiać się, paplać byle co, poznać cię z Martą i Tinem, zbierać jeżyny, zajmować się kuchnią, wrócić do Wietnamu, nosić sari, uprawiać ogród, budzić cię, ilekroć chrapiesz, pójść do zoo, na pchli targ, jeździć do Paryża, Londynu, Melrose, spacerować po Piccadilly, śpiewać ci piosenki, rzucić palenie, poprosić, żebyś mi obciął paznokcie, kupować naczynia i drobiazgi, które do niczego nie służą, jeść lody, przyglądać się ludziom, wygrać z tobą w szachy, słuchać jazzu, reggae, tańczyć mambę, cza-czę, nudzić się, kapryścić, dąsać, śmiać, owijać cię sobie wokół małego palca, znaleźć dom z widokiem na łąkę z krowami, ładować różne świństwa do wózka z zakupami w supermarkecie, pomalować na nowo sufit, uszyć zasłony, siedzieć godzinami przy stole i rozmawiać z ciekawymi ludźmi, trzymać cię za brodę, obcinać ci włosy, pielic grządki, myć samochód, patrzeć na morze, oglądać stare filmy, jeszcze do ciebie zadzwonić, powiedzieć ci parę słów bez ogródek, nauczyć się robić na drutach, zrobić ci szalik i spruć go (ohydztwo), przygarniać koty, papugi, słonie, wypożyczyć rower, leżeć

godzinami w hamaku, przeczytać ponownie stare komiksy, przejrzeć suknie Suzy, pić margaritę w cieniu, oszukiwać, nauczyć się używać żelazka, wyrzucić żelazko przez okno, śpiewać na deszczu, uciekać przed turystami, upić się, powiedzieć całą prawdę, pamiętać, że mówienie całej prawdy nie jest dobre, wysłuchać cię, wziąć za rękę, odzyskać żelazko, wsłuchiwać się w słowa piosenek, nastawiać budzik, zapomnieć o naszych walizkach, przestać pędzić, wynieść śmieci, zapytać cię, czy wciąż mnie kochasz, porozmawiać z sąsiadką, opowiedzieć ci o moim dzieciństwie w Bahrajnie, o pierścionkach mojej niani, zapachu henny i o bursztynowych kulkach, pokroić bułkę do jajek na miękko, nie zapomnieć o etykietkach na słoiki do konfitur...

- I tak strona po stronie. Mnóstwo zapisanych kartek. Wyliczyłem ci tylko to, co mi przyszło do głowy, to, co sobie przypomniałem. To było niesamowite.

„Od jak dawna to piszesz? - zapytałem.

- Od twojego wyjścia.

- Ale dlaczego?

- Bo się nudzę - odpowiedziała wesołym tonem. - Nudzę śmiertelnie, wyobraź sobie!"

Pozbierałem cały ten kram i usiadłem na brzegu łóżka. Uśmiechałem się, ale prawdę mówiąc, byłem sparaliżowany takim nadmiarem pragnień, taką energią. Jednak uśmiechałem się. Potrafiła mówić o różnych sprawach w taki zabawny i błyskotliwy sposób, a potem bacznie obserwować moją reakcję. Na tych stronach, wciśnięte między „zacząć wszystko od zera" a „wkleić fotografie do albumu", ni z tego, ni z owego, pojawiło się słowo „dziecko", tak sobie, bez komentarza. Przeglądałem tę olbrzymią listę pragnień, ona zaś w tym czasie gryzła wargi.

„No i co? - zapytała bez tchu. - Co o tym sądzisz?

- Kim są Marta i Tino? - zapytałem".

Po kształcie jej ust, po sposobie, w jaki opuściła ramiona, w jaki opadła jej ręka, poznałem, że wkrótce ją stracę. Że zadając to idiotyczne pytanie, podłożyłem głowę pod topór. W drodze do łazienki powiedziała: „Porządni ludzie" i zamknęła drzwi. A ja, zamiast do niej pójść, zamiast rzucić się do jej stóp, mówiąc jej, że tak, że zrobię wszystko, co zechce, bo przecież jestem na tym świecie po to, żeby ją uszczęśliwić, wyszedłem na balkon i zapaliłem papierosa.

- No i co?

- Nic. Nie smakował mi. Poszliśmy na kolację. Matylda była piękna. Nigdy jeszcze nie wydawała mi się taka piękna. Pełna życia, wesoła. Wszyscy na nią patrzyli. Kobiety oglądały się za nią, a mężczyźni uśmiechali się do mnie. Ona... jak by to powiedzieć... promieniała... Jaśniała wewnętrznym blaskiem, jakby rozświetlona słońcem. Była połączeniem witalności i słodczy, co nigdy nie przestawało mnie zaskakiwać i zachwycać. „Jesteś piękna" - powiedziałem, a ona wzru-

szyla ramionami. „W twoich oczach” - odparła skromnie. „Tak - przyznałem. - W moich oczach...”.

A kiedy dzisiaj o niej myślę, po tych wszystkich latach, najpierw widzę jej długą szyję, ciemne oczy i rudawobrązową sukienkę, którą miała na sobie, gdy byliśmy w austriackiej restauracji. Pięknie wznosiła ramionami.

Zresztą to było zamierzone - ten cały jej urok i wdzięk. Doskonale wiedziała, co robi: chciała, żebym ją zapamiętał taką na zawsze... Mogę się mylić, ale nie sądzę... To był łabędzi śpiew, pożegnanie. Była taka finezyjna i subtelna, musiała przeczuwać... Nawet jej skóra była delikatniejsza. Czy była tego świadoma? Czy to była wspaniałomyślność z jej strony, czy tylko okrucieństwo? Jedno i drugie, jak sądzę... Jedno i drugie...

Tej nocy, po wszystkich czułościach, powiedziała:

„Czy mogę cię o coś zapytać?”

- Tak.

- Odpowiesz mi?

- Tak.

Otworzyłem oczy.

„Nie uważasz, że dobrze nam razem?”

Byłem rozczarowany, spodziewałem się jakiegoś bardziej... hmm - zasadniczego i wzniosłego pytania.

„Tak.

- Ty też tak uważasz?

- Tak.

- Bo ja uważam, że dobrze nam razem... Lubię być z tobą, bo nigdy się nie nudzę. Nawet gdy nie rozmawiamy, nawet gdy się nie dotykamy, nawet gdy nie przebywamy w tym samym pokoju, nie nudzę się. Nigdy się nie nudzę. Myślę, że dlatego, bo mam do ciebie zaufanie, mam zaufanie do twojego sposobu myślenia. Czy to, co mówię, jest zrozumiałe? Lubię w tobie to wszystko, co widzę i czego nie widzę. A przecież znam twoje wady. I właśnie mam wrażenie, że twoje wady pasują do moich cech. Nie boimy się tych samych rzeczy. Nawet nasze demony pasują do siebie! Ty jesteś wart więcej, niż to okazujesz, a ja przeciwnie. Co do mnie, potrzebne mi jest twoje spojrzenie, żeby uzyskać więcej... substancji? Jak to się mówi po francusku? Stałości? Gdy chce się powiedzieć, że ktoś ma ciekawe wnętrze?

- Głębi?

- No właśnie! Ja jestem jak latawiec urwany z uwięzi. Puf! Odfruwam... A ty - to zabawne, często to sobie powtarzam - masz dość siły, żeby mnie przy sobie zatrzymać, i dość inteligencji, żeby mi pozwolić uciec.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Chciałam, żebyś wiedział.

- Dlaczego teraz?

- Nie wiem... Czyż to nie wspaniałe spotkać kogoś i móc sobie powiedzieć: z tą osobą jest mi dobrze?

- Ale dlaczego mówisz to teraz?

- Bo czasami mam wrażenie, że nie zdajesz sobie sprawy z szansy, jaką nam...

- Matyldo?

- Tak.

- Chcesz ode mnie odejść?

- Nie.

- Nie jesteś szczęśliwa?

- Nie za bardzo.

I na tym poprzestaliśmy.

Nazajutrz rozeszliśmy się każde w swoją stronę.

Wystygła mi herbata.

- To koniec?

- Prawie.

Kilka tygodni później przyjechała do Paryża i poprosiła o spotkanie. Byłem szczęśliwy i jednocześnie niespokojny. Szliśmy dłuższy czas ulicą, prawie nie odzywając się, a potem poszliśmy na obiad na Pola Elizejskie.

A kiedy ośmieliłem się wziąć jej dłonie w swoje, powiedziała:

„Pierre, jestem w ciąży.

- Z kim?" - zapytałem przerażony.

Wstała i odsunęła krzesło.

„Z nikim".

Włożyła płaszcz. Przesłała mi olśniewający uśmiech.

„Dziękuję, tego się właśnie spodziewałam po tobie. Odbyłam całą tę podróż po to, żeby to od ciebie usłyszeć. Zaryzykowałam".

Coś bełkotałem, chciałem wstać, ale noga stołu...

Zrobiła ruch ręką:

„Nie ruszaj się”.

Jej oczy błyszczały.

„Mam to, czego chciałam. Nie byłam w stanie cię opuścić. Nie chcę spędzić życia na czekaniu na ciebie, ale... Musiałam usłyszeć na własne uszy te dwa słowa. Musiałam na własne oczy zobaczyć twoje tchórzostwo. Dotknąć go palcem, rozumiesz? Nie, nie ruszaj się... nie ruszaj się, słyszysz?! Muszę już iść. Jestem zmęczona... Żebyś wiedział, jaka jestem zmęczona, Pierre... Ja... już dłużej nie mogę...”

Wstałem.

„Powiedz, że pozwolisz mi odejść, prawda? Pozwolisz mi odejść? Musisz mi pozwolić, i to teraz, musisz mi pozwolić... - Dławiła się. - Pozwolisz mi odejść, prawda?”

Zgodziłem się.

„Ale ty wiesz, że cię kocham, wiesz, prawda?” - wyrzuciła na koniec.

Odeszła. Przy drzwiach odwróciła się jeszcze. Wpatrywała się we mnie i potrząsała głową.

*

Teś wstał, żeby zabić jakieś żyjątko na lampie. Wylał resztkę zawartości butelki do swojego kieliszka.

- Teraz to już skończone?

- Tak.

- Nigdy jej nie odzyskałeś?

- Nie.

- I co zrobiłeś?

- Nic. Położyłem się do łóżka.

- Położyłeś się do łóżka?

- Tak.

- Jak to?

- Zwyczajnie, na Boga! Poczułem ogromną słabość, potworne znużenie... Od wielu miesięcy prześladowało mnie obumarłe drzewo. O każdej godzinie dnia czy nocy widziałem siebie wdrapującego się na bezlistne drzewo i rzucającego się w jego pusty pień. A upadek był bezbolesny, łagodny... jakbym spływał na spadochronie. Spływałem, odbijałem się, spadałem coraz niżej, i jeszcze się odbijałem. Nie przestawałem o tym myśleć. Podczas zebrania, przy stole, w samochodzie, próbując zasnąć. Wdrapywałem się na moje drzewo i dobrowolnie spadałem.

- Depresja?

- Tylko bez wielkich słów, proszę cię, bez wielkich słów... Przecież wiesz dobrze, jak to się odbywa u Dipellów - zaśmiał się szyderczo - sama o tym niedawno mówiłaś. Bez humorów, bez

łez, bez złości. Nie, elementarna przyzwoitość nie pozwoliłaby mi na taki wybryk. Więc zachorowałem na żółtaczkę. To było bardziej stosowne. Obudziłem się nazajutrz z żółtymi jak cytryna białkami oczu, z mdłościami i z niesmakiem do wszystkiego. Jak widzisz, trudno o lepszy żart! Ostra żółtaczka u człowieka, który podróżuje! - naprawdę nie można wymyślić nic lepszego!

Christine rozebrała mnie i położyła do łóżka.

Byłem bez sił, nie mogłem wykonać najmniejszego ruchu... Leżałem tak miesiąc - wciąż mnie mdliło i byłem tym kompletnie wycieńczony... Gdy chciało mi się pić, czekałem, aż ktoś wejdzie i poda mi szklanekę, a gdy było mi zimno, nie miałem sił, żeby podciągnąć koldrę. Nie odzywałem się słowem. Zabroniłem otwierać żaluzje. Zamieniłem się w zniedołężniałego starca. Dobroć Suzanne, moja niemoc, szepty dzieci, wszystko mnie przerastało, wyczerpywało. Czy nie można by zamknąć tych drzwi raz a dobrze i zostawić mnie w spokoju, samego z moim smutkiem? Czy Matylda przyjechałaby, gdyby... Gdyby... Och... Jaki ja byłem zmęczony. A wspomnienia, wyrzuty sumienia i moje tchórzostwo dobijały mnie do reszty. Z na wpół zamkniętymi oczami, bliski śmierci, rozmyślałem o klęsce mojego życia. Ofiarowano mi szczęście, a ja pozwoliłem mu przejść obok, byle nie komplikować sobie egzystencji. A przecież to było takie proste! Wystarczyło wyciągnąć rękę. Reszta ułożyłaby się sama, w taki czy inny sposób. Przecież wszystko się jakoś układa, gdy ludzie są szczęśliwi, nie uważasz?

- Nie wiem.

- A ja wiem. Możesz mi wierzyć, Chloé. Niewiele wiem, ale to wiem na pewno. Nie jestem jasnowidzem, ale jestem dwa razy starszy od ciebie. Dwa razy starszy od ciebie, zdajesz sobie sprawę? Życie, nawet gdy je negujesz, gdy je lekceważysz, gdy nie dopuszczasz go do siebie, i tak jest od ciebie silniejsze. Silniejsze od wszystkiego. Ludzie wracali z obozów i nadal płodzili dzieci. Mężczyźni i kobiety, których torturowano, którzy byli świadkami śmierci swoich bliskich i widzieli swoje płonące domy, zaczęli biec za autobusem, komentować prognozy pogody i wydawać swoje córki za mąż. To niewiarygodne, ale tak jest. Życie jest silniejsze od wszystkiego. A poza tym kim my jesteśmy, żeby przypisywać sobie aż takie znaczenie, czuć się aż tak ważnymi? Krzątamy się, mówimy podniesionym głosem i co z tego? I dlaczego? I o czym?

Co stało się z małą Sylvie, przez którą w pokoju obok umarł Paul? Co się z nią stało?

- Zaraz zgaśnie ogień - powiedziałam.

Wstał, żeby dorzucić drewna.

A ja? - zastanawiałam się - gdzie ja w tym wszystkim jestem? Gdzie ja jestem?

Ukląkł przy kominku.

- Wierzysz mi, Chloé? Wierzysz, kiedy mówię, że życie jest silniejsze od ciebie?

- Masz do mnie zaufanie?

- Różnie to bywa, zależy od dnia.

- A dzisiaj?

- Tak.

- Czy więc nie byłoby dobrze, gdybyś poszła trochę pospać?

- Nigdy jej więcej nie widziałeś? Nigdy nie próbowałeś dowiedzieć się, co u niej słychać?

Nigdy do niej nie zadzwoniłeś?

Westchnął.

- Nie masz jeszcze dość?

- Nie.

- Dzwoniłem, oczywiście, do jej siostry, raz nawet tam pojechałem, ale nic nie wskórałem.

Ptaszek odfrunął... Żeby ją znaleźć, musiałbym wiedzieć, na której półkuli jej szukać... A poza tym przyrzekłem zostawić ją w spokoju. A nie można mi odmówić tej cechy: gram *fair*.

- Mówisz bzdury! Problem nie polega na tym, żeby grać *fair* czy nie *fair*. Czy przegrywać w ładnym, czy w brzydkim stylu. To jest debilne rozumowanie, debilne i szczeniackie. A poza tym to nie jest gra... A może to była gra?

Poweselał.

- No tak, o ciebie nie muszę się martwić, moja ty dorosła osóbkko. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię szanuję. Masz wszystkie cechy, jakich ja nie mam, jesteś wielka, a twój rozsądek zbawi nas wszystkich...

- Jesteś pijany.

- Chyba żartujesz? Jeszcze nigdy nie byłem tak trzeźwy!

Wstał, trzymając się parapetu kominka.

- Idziemy spać.

- Jeszcze nie skończyłeś...

- Mało ci jeszcze mojego gładzenia?

- Mało.

- Dlaczego?

- Bo lubię piękne historie.

- Uważasz, że to piękna historia?

- Tak.

- Ja również.

- Widziałeś się z nią jeszcze, prawda? W Palais Royal?

- Skąd wiesz?

- Sam mi to powiedziałeś!

- Ach tak? Ja ci to powiedziałem?

Skinęłam głową.

- A więc to już będzie ostatni akt...

Tego dnia zaprosiłem klientów do restauracji na obiad. Wszystko zorganizowała Françoise. Dobre roczniki win, pełna elegancja, uprzejmości. Zagrałem na całego. Już dawno powinienem był to zrobić... Spotkanie było nieciekawe. Nie cierpiałem takich oficjalnych obiadów. Siedzieć przy stole i godzinami żartować z facetami, którzy mnie nic nie obchodzą, którzy mnie zanudzają swoimi historyjkami z pracy... Wyszedłem na ponuraka. Z powodu mojej wątroby. Od dawna nie miałem kropli alkoholu w ustach, zamęczałem też kelnerów o składniki każdego dania. Krótko mówiąc, straszny nudziarz... A w ogóle to nie przepadam za towarzystwem mężczyzn. Nudzą mnie. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy byłem w internacie. Zarozumialcy zawsze i wszędzie są jednaki, podobnie jak nadgorliwcy...

O życie, życie! Stałem przed drzwiami dużej restauracji, ocieżały, zacadzony dymem cygar i marzyłem tylko o jednym: poluzować wreszcie pasek w spodniach. I wtedy ją zobaczyłem. Szła szybko, prawie biegła, ciągnąc za sobą niezadowolonego chłopczyka. „Matylda?” - powiedziałem półgłosem. Zobaczyłem, jak blednie. Zobaczyłem, jak ziemia usuwa się jej spod nóg. Nie zwolniła. „Matylda!” - powtórzyłem głośniej - „Matylda!”. I ruszyłem za nią jak złodziej. „Matylda!” - krzychałem. Mały się odwrócił.

Zaprosiłem ich do kawiarni pod arkadami. Nie miała siły odmówić. Ona... Była jeszcze taka piękna. Zachowywałem się trochę niezręcznie, trochę głupio, próbowałem żartować. To było trudne.

„Powiedz, jak ci się żyje? Mieszkasz tutaj? W Paryżu?” - zasypywałem ją pytaniami. Odpowiadała monosylabami, wyraźnie zakłopotana. Zresztą nie słuchałem jej. Przyglądałem się temu jasnowłosemu małemu chłopcu, który pozbierał z sąsiednich stolików kromki chleba i rzucał okruszki ptakom. Ułożył je w dwóch kupkach - jedna była dla wróbli, druga dla gołębi - i rządził tym małym światkiem z wielką pasją. Gołębie nie miały prawa zjadać okruszków przeznaczonych dla wróbli. *Go away you!* - wołał, odpędzając je nogą. *Go away you stupid bird!* W momencie gdy odwróciłem się i otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, weszła mi w słowo:

- On nie ma pięciu lat... Nie ma pięciu lat, rozumiesz?

Zamknąłem usta.

- Jak ma na imię?

- Tom.

- Mówi po angielsku?

- Po angielsku i po francusku.

- Masz więcej dzieci?

- Nie.

- Chcesz powiedzieć... że jesteś z kimś?

Wyskrobała cukier z dna filiżanki i uśmiechnęła się do mnie.

- Muszę już iść. Czekają na nas.

- Już?

Wstała.

- Mogę was gdzieś podwieźć, ja...

Wzięła torebkę.

- Pierre, bardzo cię proszę...

I w tym momencie nie wytrzymałem. Nie przewidziałem tego. Zacząłem płakać jak pensjonarka. Ja... Ten brzdąc był mój. To ja powinienem mu pokazać, jak przeganiać gołębie, to ja powinienem pomagać mu włożyć sweter i przekręcić czapkę daszkiem do tyłu. To było moje zadanie. Ona kłamie! Ten chłopczyk ma więcej niż cztery lata. Przecież nie jestem ślepy! Dobrze wiem, że ona kłamie. Dlaczego? Dlaczego mnie okłamuje? Tak się nie robi! Tak... Szlochałem. Chciałem jej powiedzieć, że... Odsunęła swoje krzesło.

- Zostawiam cię teraz. Ja już swoje wyplakałam.

- Co było potem?

- Wyjechałem...

- Nie, chodzi mi o Matyldę.

- To był już koniec.

- Koniec, koniec?

- Koniec.

Długie milczenie.

- Kłamała?

- Nie. Od tamtego czasu pilnie się przyglądam dzieciom w jego wieku. Porównuję z twoimi dziewczynkami... Nie, sędzę, że nie kłamała. W dzisiejszych czasach dzieci są takie duże... Przy tych wszystkich witaminach, które im dodajecie do jedzenia... Czasami o nim myślę. Dzisiaj ma już z piętnaście lat... Chyba jest wysoki i dobrze zbudowany.

- Nie próbowałeś go nigdy zobaczyć?

- Nie.

- A teraz? Może ona...

- Teraz wszystko jest skończone. Teraz ja... Nawet nie wiem, czy byłbym jeszcze zdolny...

Rozpostarł przed kominkiem parawan.

- Już nie chcę o tym rozmawiać.
- Więc miłość to jedna wielka bzdura? Czy tak? Nigdy się nie sprawdza?
- Tak, sprawdza się. Ale trzeba o nią walczyć...
- Walczyć?
- Po prostu walczyć. Codziennie. Mieć odwagę być sobą, postanowić być szczęśliwym...
- Och! Jakże to piękne, co teraz mówisz! Jakbyś cytował Paula Coelho...
- Nabijaj się, nabijaj...
- Być sobą, to znaczy zostawić żonę i dzieci?
- Kto mówi o zostawianiu dzieci?
- Och! Daj spokój! Dobrze wiesz, co chcę powiedzieć...
- Nie.

Rozpłakałam się.

- Nie żartuj. A teraz już idź. Zostaw mnie. Nie chcę, żebyś się nade mną litował. Mam dość twojej szlachetności. Dość!

- Już sobie idę, już idę. Skoro tak miło prosisz...

Wychodząc, powiedział:

- Jeszcze tylko ostatnia historia, mogę?

Nie miałam ochoty.

- Pewnego dnia, dawno temu, poszedłem do piekarni z moją córeczką. Rzadko się zdarzało, żebym chodził do piekarni z córeczką. Równie rzadko trzymałem ją za rączkę, a jeszcze rzadziej zdarzało się, żebym był z nią sam. To musiała być niedziela rano, bo w piekarni było dużo ludzi - kupowali tarty z truskawkami i bezy z kremem. Wychodząc, moja córeczka poprosiła, żebym jej dał piętę z bagietki. Odmówiłem. Nie, powiedziałem, dostaniesz przy stole. Wróciliśmy i wszyscy razem zasiedliśmy do drugiego śniadania. Miła rodzinka. Ja kroilem bułkę. Zależało mi na tym. Chciałem wywiązać się z obietnicy. Ale kiedy podałem piętę córeczce, ona oddała ją bratu.

- Przecież powiedziałaś, że chcesz...

- Chciałam wcześniej - odpowiedziała, rozwijając swoją serwetkę.

- Ale przecież to tak samo smakuje - nalegałem - tak samo...

Odwróciła głowę.

- Nie, dziękuję.

- Idę spać, zostawiam cię w ciemności, skoro tak wolisz, ale zanim zgaszę światło, chcę zadać pytanie. Nie kieruję go do ciebie, ani do siebie, kieruję je do tych ścian:

- Czy ta uparta dziewczynka nie wolałaby mieć szczęśliwszego tatusia?